

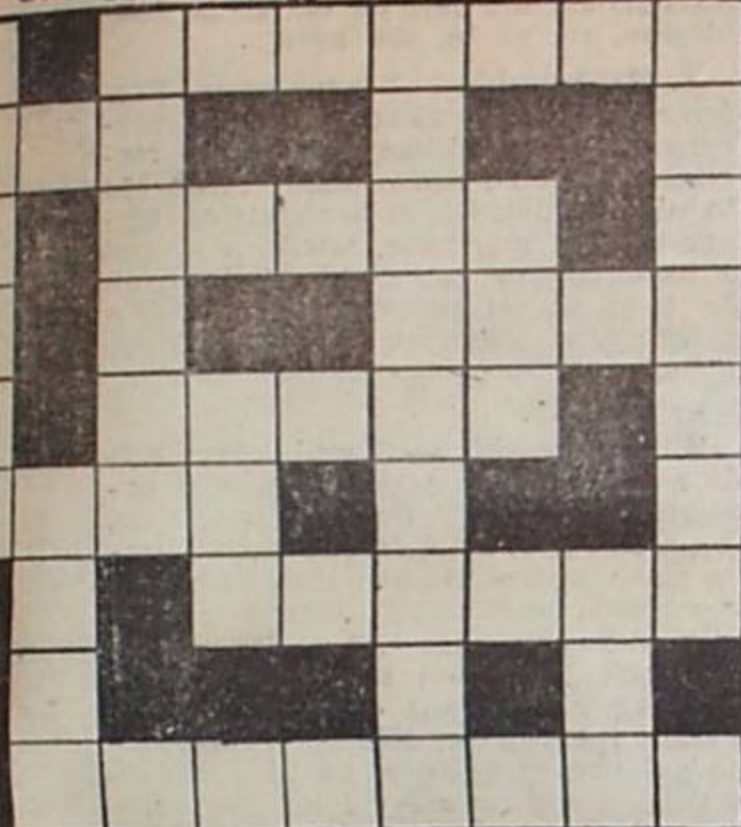
Kamena

NR 7 (827)

7 kwietnia 1985

CENA 10 ZŁ

22 23 24 25 26 27 28 29



**W dyskusji
o inteligencji
(str. 2-3)
uczestniczą :**



Z. Cackowski

M. Bokiniec

Z. Mańkowski

Foto: Robert Lipski

**Słonecznych
świąt
życzy
kamena**

VOX ma się nieźle...

PRZED dwoma laty rozmawiałem na łamach „Kamena” z Jerzym Słotą o planach i osiągnięciach VOX-u. Doszliśmy wtedy obaj do wniosku, że do upadku zespołu, przepowiadanego przez niektórych, jeszcze daleko. Teraz postanowiłem powrócić do wątków rozmowy sprzed dwóch lat, pytając o dzisiejszą kondycję kwartetu.

— Mogę ją śmiało ocenić jako dobrą. Nie zamierzam ukrywać przed czytelnikami, że przez ostatnie dwa lata zespół przechodził dziwne koleje losu. Raz był na wozie, a raz pod nim. Nie rozwiązał się jednak, nie zaprzestał koncertować, ani nagrywać nowych piosenek. Zastój w prezentacji radio-telewizyjnej związany był z odejściem pierwszego kierownika artystycznego, człowieka, który wiele zrobił dla VOX-u, Marka Skolarskiego. Wiele mu zawdzięczaliśmy, że wspomnę tylko ustawienie repertuarowe i estetyczne oraz teksty piosenek. Kiedy zdecydował się nas opuścić z różnych

powodów, mieliśmy nieco kłopotów ze stabilizacją na rynku, doбором odpowiedniego programu i promocją. Kryzys został jednak szczęśliwie zażegnany. Nowy szef ekipy, Bogdan Zep, jest nie mniej operatywny, czy pomysłowy. Dzięki niemu VOX dostał nowy zastrzyk energii. Zaczęliśmy wszyscy komponować, co znacznie wpłynęło na urozmaicenie repertuaru, zdominowanego dotąd przez Ryszarda Rynkowskiego. Dużo się u nas zmieniło i są to zmiany na lepsze. Mieliśmy dobrą końcówkę ubiegłego roku — sporo udanych koncertów (m.in. w Lublinie), występów telewizyjnych, wyjazdów i nagrań. Cieszy nas powodzenie ostatnich propozycji — „Magdaleny”, „Ryca mała rycza” i „Nie wyważa się otwartych drzwi”, napisanych we współpracy z nową autorką tekstów, Marią Czubaszek. Reasumując, jesteśmy wciąż zespołem twórczym. Nie popadliśmy w zwątpienie. Nie brakuje nam nowych pomysłów ani chęci do uatrak-

Ciąg dalszy na str. 10

Kultura bez bonifikaty

Lidia Wójcik

MIASTECZKO robi niedobre wrażenie. Przy przystanku autobusowym obskurny bar orzekaskowy, obok dwa duże pawilony handlowe, dalej bloki, budownictwo chyba z początków lat sześćdziesiątych. Główną ulicą miasteczka, po zwalch brudnego śniegu i zamrznętego błota, docieram do centrum, tzn. do niewielkiego budynku w ugrowo-pomarańczowym kolorze, gdzie mieści się Urząd Miasta i Gminy, Komisariat MO, Dom Kultury, poczta, biblioteka i jeszcze jakieś inne, pomniejszych instytucji i biur. A za tym „centrum” rozciąga się las park i niewielka rzeczka. Latem podobno jest tu bardzo ładnie, tak przynajmniej zapewniają stali mieszkańcy, ale w mroźną, lutą zimę miasteczko robi na przybyszu wrażenie miściny nijakiej. Od gospodarzy miasteczka niczego dowiedzieć się nie mogłam. Kilkakrotnie moje „podchody” żeby umówić się na rozmowę z naczelnikiem miasta, utknęły pewnie gdzieś w telefonicznych kablach, bo dopuszczono mnie jedynie do sekretariatu naczelnik zaś był ponoć bardzo zajęty.

Musiabym pewnie napisać o Poniatowej wszystko, co najgorsze, gdybym nie dotarła do miejsca, które mnie zadziwiło i urzekło: myślę o Zakładowym Domu Kultury. Tym bardziej autentyczne i cenne wydaje mi się wszystko co tu zobaczyłam, bo przybyłam bez zapowiedzi „nieumówiona”. Nie można więc powiedzieć że zrobiono coś na pokaz. Zostałam zwyczajnie, codzienne życie domu kultury, nie mające nic wspólnego z bylejąkością i marazmem. Od samego wejścia poczułam, że są w tej instytucji ludzie i że coś tu się dzieje. Dyrektorka Wanda

Braksal załatwiała jakieś sprawy w swoim gabinecie i muszę przyznać, że jakoś od razu dostrzegłam w niej troskliwego gospodarza. Nie mówi, oczywiście, o tym, ale czuje się, że lubi patrzeć na wszystko własnym okiem. Pani dyrektor oprowadza mnie długimi korytarzami, z których wchodzi się do poszczególnych sal i pracowni. Budynek był najpierw hotelem robotniczym Zakładów „Predom-Eda”. W 1956 roku dobudowano jeszcze jedno skrzydło i został adaptowany na placówkę kulturalną. Architektonicznie jest więc może nie najlepiej pomyślany, ale dosyć przestronny i obszerny. Najważniejszym „ego wyposażeniem” które sprawia na przybyszu przyjemne wrażenie, jest czystość, porządek, zadbanie. Widać to na wypastowanych korytarzach, we wszystkich pracowniach i pomieszczeniach, nawet toaletach (Na ogół przy okazji kultury nie pisze się o rzeczach tak prozaicznych ale ja piszę, bo wiem, że prawdziwa kultura robi się również przy pomocy mydła i szczotki!).

W ciągu całego dnia rozbrzmiewa tu muzyka. W różnych porach przychodzą dzieci i ćwiczą pod okiem instruktorów. Społeczne Ognisko Muzyczne pod patronatem zakładów istnieje w Domu Kultury od 1960 roku. Obecnie prowadzi dwie klasy: fortepianu i akordeonu. Dzieci chętnych do nauki stale tu przybywa, z powodów dość zresztą jasnych: opłata za naukę jest właściwie symboliczna — 250 zł. miesięcznie. Ognisko Muzyczne to oczywiście tylko jedna z form stałej, codziennej działalności Domu Kultury.

Ciąg dalszy na str. 4-5

z notatnika

20 III. W „Gazecie Krakowskiej” Krzysztof Cielentkiewicz pisze („Powróćmy wreszcie do rzeczywistości”, nr 64) o postawach młodzieży.

Obrazek pierwszy z USA: Trzech chłopców w wieku od 8 do 10 lat wbiega do sklepu, który jest własnością ich babci, osoby zamożnej. Od progu wołają: „Babciu, babciu, mamy dla ciebie propozycję. Chcemy sobie coś kupić, a więc daj nam jakąś pracę, może posprzątam, wymiemy klatki dla zwierząt, a ty nam zapłacisz”. Nadmieniam wypada, że zarówno babcie jak i rodziców młodzieniaszków (ojciec profesor) niewątpliwie stać by było na wysuplanie tych kilku banknotów, ale...

Obrazek drugi z Polski: Starsza, schorowana pani ma makulaturę i puszcza butelki. Jest przyzwyczajona do oszczędności, ale z racji choroby nie może nosić ciężkich rzeczy. Proponuje młodzieniaszkowi, który szaleje po podwórku, by zabrał te rzeczy, sprzedali i w ten sposób zdobyli kilkaset złotych. Młodzi ludzie (12-14-letni) zastanawiają się, wreszcie jeden z nich łaskawie się godzi. Aliści wieczorem wpada do mieszkania starszej pani podenerwowana mama tegoż ochotnika i gromkim głosem rуга właścicielkę makulatury, stwierdzając, że jej syn nie jest na posługę, ona zaś, matka, nie żyje sobie, aby jej dziecko było obciążone jakąkolwiek pracą, bo powinno się uczyć. Ona, matka, nie jest dziadówką, a ona, starsza pani, jest bezczelna, bo śmiała coś takiego jej synowi zaproponować.

Obrazek trzeci, też z Polski: Telewizyjny reporter zapytuje młodą dziewczynę, studentkę, zamożnie ubraną (kozuch, futrzana czapa) o jej stosunek do proponowanych podwyżek cen. Ona odpowiada tak: „Mnie to nie nie obchodzi, bo oprócz stypendium pieniądze daje mi ojciec, ale jego to dotknie, bo jak wszystko podrożeje, to będzie mi musiał dawać na utrzymanie całą swoją rentę, a nie jak dotąd, tylko jej część”.

Ciągle utyskujemy na młodzież. Pytam donośnym głosem: kto winien? KTO?

22 III. Wczoraj obradowała w Lublinie Wojewódzka Konferencja PZPR. Relację przyniosła codzienna prasa.

Siedziałem, wprowadzić nie na sali (nie lubię siedzieć na sali obrad), ale przy głośniku, gdzie również łatwo było mi się zorientować, czy ktoś czyta z kartki czy też mówi. Kiedyś na tych łamach sam namawiałem, by na różnych naradach ludzie mówili, a nie czytali, ale teraz zmieniłem zdanie. Nie każdy potrafi tak jak profesor Cackowski mówić przez pół godziny (wracam do pamiętnej konferencji z 1981 r.), a cisza jest taka, że słychać brzęczenie przelatującej muchy... Oczywiście czytanie czytaniu też nierówne, a dykcja nie stanowi najmniejszej broni naszego aktywu, niemniej jeśli ktoś sobie tekst uprzednio napisze, to uniknie zbędnych powtórzeń. Z drugiej jednak strony taki tekst pisany też ma pewne mankamenty: trudno odnieść się do tego, co mówili (czytali) przedmówcy, stąd polemik raczej oczekiwać nie należy. Raczej, bo przecież wzorem Nikity Sergejewicza zawsze można wtrącić coś na gorąco.

Dla mnie ważne są kuluary. Tu, w czasie przerwy, spotyka się ludzi, których często nie widział się przez miesiące, a nawet lata. Tu można zdobyć jakiś temat, umówić się na wizytę, zapisać aktualny numer telefonu. Czas jednak w miejscu nie stoi: coraz mniej znajomych twarzy, wielu aktywistów na emeryturze bądź rencie, a wielu tam, skąd się już nie wraca. I mnie też bliżej niż dalej, toteż z rówieśnikami (i starszymi) zawsze znajduję wspólny język, chociaż często te nasze rozmowy wyglądają tak: „A pamiętasz za towarzysza Holoda...”, „A pamiętasz za towarzysza Kozdry...”. Po latach dzisiejsi młodzi będą wspominać: „A pamiętasz za towarzysza Skrzydły...”. Albo: „Kiedy sekretarzem był Profesor...”

Na wczorajszej konferencji z grona dziennikarskiego zabierali głos tow.

low.: Tadeusz Fita i Andrzej Szwabe. Niech się młodzi wygadają! Ja już swoją normę przekroczyłem i w tym względzie (średni wiek życia dziennikarza jest niższy od mojego...), chociaż czasami aż mnie korci, aby z czymś wyskoczyć i obecnym na sali zaniepokoić. Odbiliśmy się wprawdzie nieco od dna, ale promienie słoneczne jeszcze przecież nas nie grzeją!

23 III. „Express Wieczorny” donosił, że w kościele pod wezwaniem św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej 12-osobowa grupa (wśród niej i studenci z Lublina) ogłosiła „głodówkę”. W jakim celu? Grupa solidaryzuje się z niejakim Markłem Adamkiewiczem ze Szczecina, który odmówił złożenia przysięgi wojskowej, za co wyrokiem sądu wojskowego został skazany na więzienie. Organizatorzy „głodówki” w Podkowie Leśnej domagają się jego uwolnienia, przestrzegania praw człowieka i wprowadzenia... dobrowolności składania przysięgi wojskowej.

A może by tak ktoś wpadł na pomysł urządzenia „głodówki” z powodu reaganowskiego programu wojen gwiazdowych?

Głupota niektórych naszych rodaków może zdrowo myślącego człowieka doprowadzić do apopleksji.

29 III. Zamieszczone w „Kamieniu” karykatury o papieżu zdenerwowały jakichś dwóch dewotów. Jeden był w miarę grzeczny, natomiast drugi zaczął „per ty” mi ubliżać. Odłożyłem słuchawkę. Może by jednak pobożniś poszedł przed świętami do spowiedzi? Takie słówka? Bój się pan Boga, anonimie!

W tym miejscu kwituję też odbiór listu od red. W. O. Może ten list wydrukuję, bo W. O. grozi mi... sądem koleżeńskim. Ja też jednego dziennikarza chciałem kiedyś podać do sądu, ale doszedłem do wniosku, że czas można pożytecznie wykorzystać. Redaktorze W. O., uroczyste jednak oświadczam, że nie sponuję Panu, jak Pan twierdzi w liście, zachłanności! Szuka Pan podtekstów w moim notatniku, a przecież żadnych podtekstów w nim nie ma. Przy okazji w swym liście czarno na białym obraża Pan „Kamień”. Nie tacy, jak Pan, źle już o niej pisali! Nawet Józef Łobodowski na łamach londyńskich „Wiadomości”, że o (tu nazwisko) nie wspomnę. Na razie polecam Panu (o czym niżej) lekturę dziennika — pamiętnika Jerzego Wittlina pt. „Pójdź ze mną!”

Ponieważ dmucham na zimne, pragnę również przeprosić zainteresowanych, że publikowane w teście „Kamień” na pierwszej stronie zdjęcia naszych dyskutantów nie są ułożone w porządku alfabetycznym. Po prostu nie chciałem, aby jeden od drugiego odwracał się tyłem!

„Cysorz to ma lekkie życie” — śpiewał kiedyś Chyla. Redaktor to, niestety, nie cysorz. I każdy redaktor ma swego cysorza. Ba — żeby jednego!

31 III. Czytam dziennik — pamiętnik Jerzego Wittlina pt. „Pójdź ze mną!”, a tu telefon od znajomej z zachętą, abym obejrzał kiermasze przedświąteczne w „Europie” i „Regionalnej”, oba ponoć bardzo udane. Kiedyś szefostwo gastronomii (kiedyś, to znaczy w czasach propagandy sukcesu) zapraszało przedstawiciela „Kamienia” na tego typu imprezy, może dlatego, że o sprawach jadła częściej to i owo „Kamień” drukowała... Inna rzecz, że i na stołkach kierowniczych w tzw. międzyczasie zaszły pewne zmiany, a poza tym zaczęła działać reforma gospodarcza, no i do trzynastej nie można... Eza się w oku kręci, kiedy człowiek sobie przypomni, jak to drzewie bywało! Niemniej cieszy, że kiermasze wróciły!

Rzadko korzystam ostatnio z usług zakładów żywienia zbiorowego, aczkolwiek zauważyłem, że tu i ówdzie zaczynać powracać schabowe. „Wraca świnia — wraca stare” — powiedziałaby zapewne Leszek Siemion. Leszek już nie pożartuje, niedawno minęła czwarta rocznica jego śmierci, a pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy mówił, że więcej spotyka teraz znajomych

na ementarzu niż na Krakowskim Przedmieściu...

„Sztandar Ludu” w wydaniu specjalnym z okazji 40-lecia pisma (szerzej nie kolportowanym) napisał, jak to Leszek, jedząc obiad w stołówce, znalazł w zupie niewielki włos. Oburzony, zawołał szefa kuchni: „Oto włos — oświadczył tubalnie — który znalazłem w waszej zupie. Proszę w przyszłości dopilnować, żeby kucharki nie chodziły okrakiem nad garnkami!”

Cytuję to, bo jestem pod wpływem wspomnień Jerzego Wittlina, od których mnie na moment ów telefon odebrał. Cóż to za lektura! Kilka cytatów:

.... Kiedy do leżącego w szpitalu Leca zgłosił się redaktor z korekta jego książki, powiedział Lec: „Teraz nie mam czasu, Teraz umieram. Nie przeszkadzajcie mi umierać!”

.... Mówiło się przed wojną, że każdy szlachcisz ma swego Żyda. Po wojnie mówiło się, że każdy Żyd ma swego szlachcica. Mimo że szlachcisz pozostał już tylko jeden.

.... W wyniku pertraktacji rządu z Wałęsą uzgodniono, że będzie się pracować tylko w środy. Po nocnych obradach, na których zmocony Wałęsa lekko się zdrzemnął, informują go o tej sprawie. „No dobrze — mówi — ale która środa w miesiącu?” (te anegdota zanotował Wittlin pod datą 11 stycznia 1981 r.).

.... Jest nas dziś w pracy (24 stycznia 1981 r. — M. A. Jaworski) osiem osób, czyli około 20 proc. załogi. I uświadomiam sobie, że nie po raz pierwszy, że tyłu ludzi by wystarczyło, aby robić wydawnictwo wielkości WAI-u Reszta, niespełna 40 osób, to „nawis” kadrowy. Różnie to kształtuje się gdzie indziej, ale prawdziwość jest wszędzie ta sama: 40 bezrobotnych dopiero, daję gwarancję wydajnej pracy tych ośmiu.”

.... umarł Prutkowski. [...] W szpitalu, po pierwszym zawale, kiedy przyszła go odwiedzić sympatka Hania, leżąc nieruchomo miał powiedzieć do niej: „I popatrz, Haniu: stawał, stawał i zawał”. Po kolejnym zawale odwiedził go w szpitalu Jurek Lutowski i zobaczył, że kaczka nie jest opróżniona. Chciał wyjść z pokoju i zawołać pielęgniarkę, aby zrobiła awanturę, ale Prutkowski go przytrzymał i woła: „Stół, idioto, daj spokój, to nie jest żaden mocz, tylko jarzębiak!”

.... Jak umierał Prutkowski w „Hybrydach”. W trakcie dyskusji powiedział Prutkowskiemu, że jest grafomanem i kazali mu się rozliczyć z przeszłości. Prutkowski mówił, że w odróżnieniu od Pietrzaka on rozliczać się z przeszłości nie musi. Sala protestuje, Prutkowski śmieje, śląda, oczy w slup. Ktoś z sali: „My znamy te kawaly z kabaretu „Frikko”! Pogotowie przyjeżdża po dwudziestu minutach. Za późno. Dwa dni później czytam w „Życiu” nekrolog podpisany przez klub „Hybrydy”.

U Wittlina wiele nazwisk, ale także wiele pseudonimów. Autor zapowiada: „w ostatnim tomie ujawnię wszystkie liczące się w mojej życiowej powieści pseudonimy. Jednak zanim usiądę do pisania tego ostatniego tomu, miną jeszcze lata...”

Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć nam obu — Wittlinowi i mnie — abyśmy zdrowi byli! (A swoją drogą co za sztuka odkryć kogo Wittlin ma na myśli, gdy pisze np. EOS i wspomina o pracy owego EOS-a na temat historii ONZ...)

Zachęcam do lektury. Nakład jedynie 20 tysięcy egzemplarzy!

M. A. Jaworski

Dyskusja „Kamienia”

Przy okazji zakrętów historii i kryzysów, jakie przeżywa nasz kraj, powraca problem inteligencji jako grupy społecznej. Grupy kontrolerskiej i różnej wywołującej emocje, oceny, refleksje. Jeśli by zausać socjologom, niemal czwarta część (ok. 24 procent) naszego społeczeństwa, to najogólniej — inteligencja. Jest ona Hezebnie zbliżona do chłopstwa, natomiast stanowiła nieco mniej niż połowę liczby robotników. O takiej grupie i jej problemach naturalnie mówić trzeba. I to stanowi punkt wyjścia dyskusji, w której uczestniczą: doc. dr hab. med. MICHAŁ BOKINIEC, pracownik naukowy lubelskiej AM, sekretarz KW PZPR w Lublinie; prof. dr hab. ZDZISŁAW CACKOWSKI, filozof (UMCS) i prof. dr hab. ZYGMUNT MAŃKOWSKI, historyk, również z UMCS, członek kolegium redakcyjnego „Kamienia”.

— Czy jest sens definiowania inteligencji? Jako warstwa społeczna stanowi ona zbiór tak niejednorodny, tak zróżnicowany, o tak skomplikowanej genealogii, że... ręce — przy próbach wtłoczenia jej w jakieś konkretne ramy — opadają, a jeden z koryfeuszów polskiej nauki powiedział wprost, że inteligencja nie jest po to, by ją definiować, ale po to, aby była...

Z. Mańkowski: — Nie ma sensu! Profesor Cackowski może nam zaraz precyzyjnie ten problem definicyjny rozwinąć, ale do niczego konkretnego nas to nie zaprowadzi. A konkretniej, wywiedzie na manowce zawitych dysput o minimalnym znaczeniu użytkowym. Ja bym raczej proponował mówić o niektórych istotnych cechach inteligencji.

— Mówmy.

Z. Mańkowski: — Zasadniczym wydaje się dokonanie wewnętrznego podziału inteligencji. Badania wykazują, iż na całym świecie szybko rośnie liczba nisko wykwalifikowanych kadr pracowników umysłowych. Grupa ta dość wyraźnie wydzieliła się z dawnej inteligencji i stanowi samodzielną subwarstwę usytuowaną obok inteligencji i obok robotników. Nie są to na pewno ani twórcy kultury, nauki, polityki, nauczyciele, kierownicy życia gospodarczego. Jest to biurokracyjna masa, którą przypisuje się do kategorii tzw. pracowników umysłowych. Ową proces wzrostu tej grupy powoduje, nie tylko zresztą, u nas, wiele zamieszania definicyjnego. O ile przed wojną kryterium przynależności do inteligencji było w zasadzie uzyskanie matury, o tyle dziś miara ta jest po prostu śmieczna. Wykwalifikowany robotnik posiada częstokroć wyższe wykształcenie niż przedwojenny czy dzisiejszy urzędnik. Pomijam tu problem znacznie wyższego poziomu szkolnictwa przedwojennego. Zatem obok rozwarstwienia w samej inteligencji nastąpiło także spłaszczenie struktury społecznej. Inteligent przestaje się jako wyróżniać, a robotnik czy rolnik — odróżniać od inteligenta. Wielki wpływ ma także oddziaływanie środków masowego przekazu, dostępność dóbr kulturalnych.



Rys. Józef Tarłowski

Awans ⁽²⁾

„Budowlaniec”

PIERWSZEGO sierpnia przed godz. 9 zameldowałem się u przewodniczącego i pojechaliśmy jego samochodem do przedsiębiorstwa. W obszernej sali czekało na nas kilkudziesięciu pracowników. Przewodniczący mówił do nich dość długo, a były to sprawy zapewne dobre im znane. Apelował o lepszą pracę, grożąc jednocześnie likwidacją przedsiębiorstwa, oraz przedstawił mi pracownikom jako nowego dyrektora. Powiedziałem kilka zdań, w których wyraziłem nadzieję, że będę zaaprobowany jako członek zarządu i że będziemy wszyscy wspólnie tak działali, aby w niedługim czasie opinia o przedsiębiorstwie była lepsza. Nikt z pracowników nie zabrał głosu, nikt o nic nie pytał. Wszyscy rozeszli się, a ja odprowadziłem przewodniczącego do samochodu, pożegnałem go i zostałem sam wśród nie znanych mi problemów i ludzi. Miałem znowu pustkę w głowie i nie wiedziałem, co robić i dokąd iść. Trzeba było jednak od czegoś zacząć, a jeśli się nic nie wie, to trzeba zacząć od uczenia się i poznawania.

Poszedłem do głównego księgowego. Był to młody, trzydziestoletni człowiek, po studiach ekonomicznych, z kilkuletnią już praktyką. Rozmawiałem długo, około trzech godzin. Zadałem mu mnóstwo pytań. Chciałem możliwie szybko wiedzieć najwięcej o przedsiębiorstwie. Był zupełnie dobrze zorientowany — nie tylko w kwestiach finansowych, ale również w sprawach produkcji budowlanej, środków produkcji, zatrudnienia, organizacji przedsiębiorstwa... Ja natomiast byłem zupełnie „ciemny” w sprawach ekonomicznych. Takie pojęcia, jak: rozrachunek gospodarczy, rentowność, akumulacja, amortyzacja, rodzaje kosztów i inne — były dla mnie zupełnie niezrozumiałe. W jednostce budżetowej, w której pracowałem, wszystko było daleko prostsze...

Następnie w towarzystwie głównego księgowego zwiedziłem pokoje biurowe, warsztaty, magazyny, składowiska materiałów, cały prawie trzyhektarowy teren. Rozmawiałem z różnymi pracownikami i poznawalem ich. Do dyrektorskiego gabinetu załedwie zajrzałem. Podczas obchodu terenu przedsiębiorstwa podjęliśmy szereg nowych ustaleń, a w zakładzie były zaniedbania wręcz nieprawdopodobne. Tak nam zeszedł dzień. Podobał mi się główny księgowy i ja chyba zrobiłem na nim niezłe wrażenie, bo powiedział że taka zmiana powin-

na nastąpić już dawno, a nie byłoby tego „dna” w przedsiębiorstwie. Mówiłem mu również, że nie zamierzam pracować tylko osiem godzin dziennie i to samo zalecam jemu. Zaproponowałem, aby połowę swego czasu pracy spędzał przyglądając się produkcji i budowom, by kontrolował gospodarność w przedsiębiorstwie, oczywiście bez szkody dla księgowości, bo nie ma zastępcy dyrektora, a nawet kandydata na to stanowisko. Zgodził się z ochotą twierdząc, że miał taki zamiar, lecz poprzedni dyrektorzy nie umożliwiali mu wyjazdów. Jest w przedsiębiorstwie samochód osobowy, ale kierowca przebywa na urlopie, a samochód stoi w garażu. Powiedziałem: niech kierowca urlopuje, ja mam motocykl i możemy razem obejrzeć budowy.

Idąc z przedsiębiorstwa do domu wstąpiłem po drodze do księgarni, kupiłem sobie dwa podręczniki z rachunkowości i ekonomiki przedsiębiorstwa budowlanego i rozpocząłem studiowanie tych zagadnień. Nie mogłem być „ciemny” w tych sprawach, nie rozumieć terminów i pojęć używanych przez głównego księgowego.

Nazajutrz o godz. 8 przyszedłem do przedsiębiorstwa i obserwowałem rozpoczęcie pracy przez transport, warsztaty mechaniczne i stolarskie. Później była narada w banku i decyzja o wznawieniu finansowania przedsiębiorstwa przez bank, w czym dopomógł mi kierownik Wydziału Finansowego Prezydium PRN, przysłany na naradę przez przewodniczącego. Moja osoba miała stanowić gwarantację poprawy sytuacji w przedsiębiorstwie. Po naradzie pojechałem z głównym księgowym motocyklem na budowy. Późnym popołudniem — czytanie i rozdzielanie korespondencji.

W podobny sposób przebiegały wszystkie następne dni. Rano wydawanie dyspozycji i poleceń, następnie wyjazdy, odprawy, narady, zaś późnym popołudniem i wieczorem praca w biurze. W ciągu kilku dni uczestniczyłem w zwoływanych na mój wniosek zebraniach organizacji partyjnej, rady robotniczej i rady zakładowej. Odbyłem również kilka narad z grupami pracowników, m.in. z kierownikami budów, majstrami, pracownikami transportu, murarzami, cieślami, pilnując jednocześnie, aby te zebrania nie przeszkadzały produkcji. Z każdą grupą trzeba było nieco inaczej rozmawiać, określać inne zadania i obowiązki. Na każdym zebraniu z całą mocą podkreślałem, że wydajemy w przedsiębiorstwie wojnę zbrodniczym i pijanistom.

Tajemnicę poliszynela stanowiło, że w przedsiębiorstwie się kradnie. Nie wiadomo było tylko kto, co i ile kradnie. Wprawdzie milicja prowadziła jakieś dochodzenia, jeden pracownik został zamknięty, lecz, aby zapobiec kradzieżom, należało energicznie działać, należało w tę wojnę wciągnąć wszystkich uczciwych pracowników, bo przeciwnicy byli tacy.

Argumentem, którego używałem przekonując ludzi do wojny ze złodziejami, okazały się wprowadzone w tym czasie przepisy o funduszu zakładowym oraz stosunkowo wysokie nagrody roczne, jakie mogliby pracownicy otrzymywać w przypadku wypracowania zysku. Odpis na zakładowy fundusz nagród wynosił znaczną część zysku, zaś roczne nagrody indywidualne mogły sięgać czterokrotnej wysokości uposażenia miesięcznego pracownika. Tłumaczyłem, iż złodzieje kradnąc i przyczyniając się do strat, pozbawiają nagród uczciwych pra-

cowników. Podobnych racji użyłem piętnując marnotrawstwo materiałów i straty czasu. Mówiłem, że kradzieże muszą się w przedsiębiorstwie skończyć, a pilnować tego powinni wszyscy uczciwi pracownicy. Taki pracownik, który zna przypadek kradzieży i sprawcę, a nie ujawnia tego, jest współwinni kradzieży. Zapowiedziałem, że złodzieje będą bezwzględnie oddawani w ręce prokuratora.

Przedsiębiorstwo zatrudniało wówczas około 500 ludzi i wykonywało roboty jednocześnie na około czterdziestu placach budów w trzech powiatach. Było to duże rozproszenie sił i środków, co później zostało zmienione. Istniało kilkanaście kierownictw budów, zaś każdy kierownik nadzorował dwa lub trzy place budowy. Wykonywano wiele obiektów dla PGR-ów, jak budynki inwentarskie, mieszkalne, spichrze oraz lecznice weterynaryjne, szkoły, magazyny GS-ów i inne. Nie były to roboty technicznie trudne, jednakże z powodu dużych odległości, rozrzutu i często braku twardych dróg dojazdowych istniały duże trudności w organizowaniu i kontrolowaniu pracy. W przedsiębiorstwie brakowało zorganizowanej kontroli wewnętrznej. Taka sytuacja sprzyjała marnotrawstwu i złodziejstwu.

Pracowałem już w przedsiębiorstwie około 10 dni. Pewnego popołudnia, kiedy siedziałem w biurze nad korespondencją, przyszedł do mnie jeden z kierowników. Zdażyłem go już poznać jako zdolnego technika, a jednocześnie sprawiał on wrażenie uczciwego człowieka. Położył mi na biurko dwa banknoty pięćsetzłotowe i powiedział, że przyszedł z normalnym miesięcznym „odsyłem” ze swojej budowy. Gdy zdziwiony zapytałem, co to znaczy, wyjaśnił mi, że wszyscy kierownicy budów mieli obowiązek świadczenia pewnych stałych kwot pieniężnych na rzecz dyrekcji. Pieniądze te zbierał jeden z zastępców dyrektora, ale ponieważ nie ma już zastępcy, więc on z tymi pieniędzmi przyszedł do mnie. Podsunałem mu wówczas czystą kartkę papieru i poprosiłem, aby to napisał w formie oświadczenia. Odmówił napisania i powiedział: „Jeśli pan dyrektor zgłosi to do prokuratora, ja się wyprę wszystkiego, bo nie chcę mieć do czynienia z prokuratorem, milicją i sądem, a przyszedłem tu, aby dyrektora poinformować o pobieraniu tego haraczu przez byłą dyrekcję”. Gdy go zapytałem, czy te pieniądze, które leżą na biurku, pochodzą ze sprzedaży kradzionych materiałów, odpowiedział tylko, że on nie kradnie. Zabrał pieniądze z biurka, prosił, aby nie ujawniać jego nazwiska, pożegnał się i wyszedł. Pomyślałem sobie wówczas, jak głęboka musi być demoralizacja wielu ludzi w przedsiębiorstwie, gdy góra dawała taki przykład. Inni kierownicy z propozycją przyjęcia „odsyłu” nie przyszłi.

W tym czasie zacząłem otrzymywać anonimowe telefony o kradzieżach. Chyba w dwa dni po wizycie tego kierownika z „odsyłem”, gdy przebywałem rano na placu sprawdzając sposób załadowania na samochód belek stropowych (złe załadowanie lamaly się), przybiegła sekretarka mówiąc, że jest do mnie pilny telefon. Mój rozmówca przedstawił się jako robotnik przedsiębiorstwa i powiedział, że na rampie kolejowej w mieście rozładowywane są wagony z cegłą, która jest wożona na budowę miejscowej szkoły. Część tej cegły została sprzedana przez pracownika zaopatrzenia, który jest na rampie. Handel cegłą został dokonany pół godziny temu. Zaopatrzeniowiec ma w tej chwili w kieszeni cztery tysiące złotych. Zapytałem me-

Kultura bez bonifikaty

Ciąg dalszy ze str. 1

najbardziej słyszalna, ale kiedy zaglądam do innych pomieszczeń i pracownik widać, że ośmiu zatrudnionych tu pracowników merytorycznych naprawdę potrafi tworzyć życie kulturalne, starając się zapewnić i rozrywkę, i możliwość działalności twórczej dzieciom oraz dorosłym. I to nie tylko robotnikom i ich rodzinom z Zakładów „Predom-Eda”. Wprawdzie Dom Kultury jest finansowany wyłącznie przez zakłady, ale jest placówką środowiskową, przeznaczoną dla całego gminotwórczego miasteczka, proponuje rozmaite formy działalności, mniej i bardziej ambitne, zapewniając możliwość rozrywki i spędzania wolnego czasu ludziom o różnorodnych upodobaniach i zainteresowaniach.

Czołową rolę ma tu kabaret, składający się wyłącznie z osób dorosłych, w dużej mierze z robotników, którzy często sami piszą teksty. Zespół występuje nie tylko w Poniatowej, uczestniczy w konkursach, m.in. w Zakopanem. Dzieciom zaproponowano nieco inne formy teatralnej działalności: dziecięce Kółko Żywego Słowa przy-

gotowuje okolicznościowe spotkania i imprezy, przeznaczone najczęściej dla rodziców. Młodzież zaś skupia się w Młodzieżowym Zespole Poezji Śpiewanej i w zespole rytmiczno-tanecznym pracującym także nad inscenizacjami teatralnymi. Wszystkimi formami działalności teatralnej zajmuje się Teresa Brząkała, instruktor żywego słowa. W tej dziedzinie zadbane także o kontakt z teatrem zawodowym, do tradycji należą już wizyty aktorów Teatru im. Osterwy.

Ciekawie pomyślano działalność pracowni plastycznej, którą kieruje Roman Gaska. Proponuje się tu różne formy twórczości. Dla dzieci i młodzieży malowanie na szkle, rysunek węglem, modelowanie w glinie. Dla dorosłych, szczególnie kobiet, stworzono możliwość pracy nad tkaniną artystyczną. Przy tej pracowni istnieje Klub Plastyka Amatora, utrzymywane są także stałe kontakty z Towarzystwem Sztuk Pięknych. Działa tu również klub filmowo-fotograficzny posiadający dobrze wyposażoną pracownię.

Na parterze budynku rozprzestrzeniona jest biblioteka, posiadająca ponad 36 tys. woluminów. Podzielona jest na część dla dorosłych z czytelnią i wypożyczalnią oraz dział dziecięcy, również z czytelnią wyposażoną w ładne

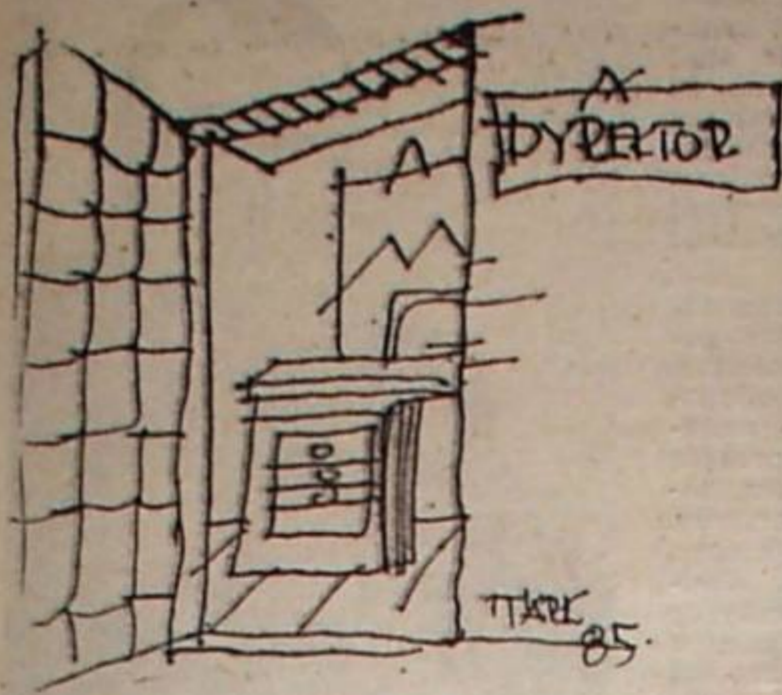
wiklinowe stoliki i stołeczki, przystosowane dla dzieci. Biblioteka, podobnie jak wszelkie formy działalności Domu Kultury, jest ogólnie dostępna dla miasta. Wypożycza się tu nawet czasopisma do domu, co pewnie tylko w Poniatowej się praktykuje, w każdym razie w nielicznych bibliotekach. Druga biblioteka miejsko-gminna funkcjonuje na podobnych zasadach, tylko że warunki lokalowe są tu wyjątkowo niedobre. 25 tys. woluminów, czasopisma, katalogi i trzy pracownice słocone są w dwóch niewielkich pomieszczeniach. (Choć podobno w najbliższym czasie biblioteka otrzyma nowy lokal, tym sposobem przybędą dwa pomieszczenia dla Miejsko-Gminnego Domu Kultury, który mieści się obok w czterech niewielkich pokojach, we wspomnianym już budynku, skupiającym wszystkie ważniejsze instytucje i urzędy Poniatowej).

Zakładowy Dom Kultury chętnie odwiedzają ludzie, którzy nie uczestniczą w amatorskim ruchu artystycznym, ani nie korzystają ze zbiorów biblioteki, mają tu bowiem zapewnioną możliwość rozrywki, spędzenia wolnego czasu. Istnieje zespół muzyczny, który raz w tygodniu organizuje wieczorki taneczne. Na parterze, tuż przy wejściu, znajduje się kawiarnia, przystosowana dla potrzeb Domu Kultury, gdzie taniej sprzedaje się kawę, herbatę, odbywają się wieczory przy samowarze. Kierownictwo Domu Kultury myśli również o dzieciach, dla których w czasie ferii i wakacji organizowane są specjalne zajęcia. Młodzież jest tu także zadowolona. Klub Młodzieżowy, działający pod patronatem ZSMP, często organizuje dyskoteki, ale również konkurasy wiedzy społecz-

no-politycznej. Nie zapomina się, oczywiście, że placówka istnieje pod patronatem Zakładów „Predom-Eda”, stąd szczególną troską kulturalną otoczeni są właśnie robotnicy, choć nie jest to wcale łatwe. Wśród czterotygodniowej zarobkowej 70 proc. stanowią chłopcy-robotnicy. Budownictwo jest wciąż słabą stroną miasteczka, zatem większość zatrudnionych w zakładach dojeżdża z okolicznych wsi. Trudno raczej po pracy zatrudnionych jeszcze dla spraw kultury, choć w jakimś stopniu jest to możliwe. Zatrudniono w ZDK specjalnego instruktora do organizacji wycieczek po pracy. Często odbywają się turnieje międzypodstawowe, gry, konkursy.

Zadbane także o możliwość dostępu do kultury ludzi nieczynnych już zawodowo. W jednej z sal spotkałem grupkę kobiet emerytek i rencistek, które same zorganizowały zespół śpiewający. Jedna z nich pisze teksty satyryczne o tematyce społecznej. Od strony muzycznej (akordeon) wspomaganą są przez instruktorkę Halinę Cisz. Mówią, że śpiewają przede wszystkim dla siebie, żeby nie czuć się skazanym na samotność, często wyjeżdżają do Nałęczowa, gdzie w sanatoriach dają programy dla kuracjuszy.

W obszernym budynku ZDK starczyło miejsca na urządzenie Izby Pamięci Narodowej, gdzie zgromadzono eksponaty związane z powstaniem listopadowym i styczniowym, ze zdarzeniami rewolucji 1905 roku, z okresem okupacji, kiedy był tu obóz przejściowy, i wreszcie eksponaty pochodzące z powojennych lat związane z rozwojem miasta i zakładów. Izbę odwiedza



Rys. Józef Tarłowski

go rozmówcę o nazwisko, ale mi nie podał. Podziękowałem więc i rozmowa się skończyła.

Zastanawiałem się, co robić. Pierwszy mój odruch to zawiadomić milicję. Ale jeśli to nieprawda, to osmieszę się wobec milicji i wobec pracowników. Postanowiłem złodzieja złapać sam. Pojechałem w kierunku rampy, następnie obserwowałem z ukrycia samochody wożące cegły, a gdy stwierdziłem, że załadowany samochód potoczył się w innym kierunku niż trzeba było, pojechałem za nim i złapałem go na budowie domu jednorodzinnej. Kierowca z właścicielem budowy rozpoznali rozładunek cegły, w towarzystwie mego zapoznawcy. Widok mojej osoby podzielił na nich jak grom z jasnego nieba. Właścicielowi budowy zagroziłem, że będzie siedział za paserstwo, a kierowcy i zapoznawcy poleciłem odwieźć cegły na miejsce przeznaczenia.

Nazajutrz zwołaniem z pracy dyscyplinarnie obu pracowników, lecz sprawy do prokuratury nie skierowałem, bo byli to stosunkowo biedni ludzie, obciążeni licznymi rodzinami.

Niedługo potem przychwyciłem jednego kierownika budowy na kradzieży papy dachowej. Rano otrzymałem telefon od anonimowego robotnika, że tego dnia o zmierzchu będzie wywożona z budowy papa. Teren ten znajdował się w odległości około 25 km od siedziby przedsiębiorstwa. Pojechałem tam i z pewnej odległości również obserwowałem miejsce. Robiło się już ciemno, gdy zauważyłem wjeżdżającą na budowę dwukonną furmankę. Po kilkunastu minutach podjechałem pod zamkniętą bramę wjazdową i czekałem tam dość długo, może pół godziny. Kiedy usłyszałem podjeżdżającą furmankę i skrzyp bramy, reflektorem motocykla oświetliłem otwierającą bramę kierownika budowy i wóz załadowany papą dachową. Usiłował on wywieźć 25 rolek papy, którą „zaoszczędził” na kryciu dachów wiat i magazynów, kosztem jakości robót.

Szybkie rozliczenie budowy z materiałów wykazało braki wartości ponad 30 tys. zł. Kierownik został zamknięty na polecenie prokuratora.

Innego dnia, około godz. 14, otrzymałem telefon zapraszający mnie na inną budowę. Dzwonił również robotnik, prosił, abym zaraz przyjechał i zobaczył, co się dzieje z kierownikiem budowy. Pojechałem, zajrzałem do barakowozu, w którym mieściło się biuro, ale nie było tam nikogo. Poszedłem do grupy tynkarzy pracujących przy bu-

dynku, i zapytałem: „Koledzy, a gdzie jest wasz kierownik?” Zaczęli się uśmiechać, a jeden z nich powiedział, żebym zajrzał do barakowozu hotelowego... Zobaczyłem tam trzech ludzi spitych prawie do nieprzytomności, leżących na łóżkach, a na stole — reszki jedzenia i butelki po wódce. Byli to moi kierownicy: jeden z miejscowej budowy, drugi z sąsiedniej, a trzecim okazał się kierownik robót elektrycznych. Byli tak spici, że nie reagowali na moje wołanie. Nazajutrz tłumaczyli się, że byli imieniny jednego z nich. Jeszcze tego dnia cała trójka otrzymała zwolnienia dyscyplinarne, a dwóch trafiło później, po rozliczeniu budów, do prokuratora.

Gdzieś pod koniec sierpnia zapobiegłem poważnej już kradzieży 40 ton cementu, załadowanego na dwa wagony. Materiał ten został wysłany z cementowni do małej stacji kolejowej, znajdującej się na terenie sąsiedniego powiatu; w pobliżu przedsiębiorstwo wykonywało szereg obiektów dla Państwowych Gospodarstw Rolnych. Materiały budowlane nadchodziły do owej stacji, gdzie były rozładowywane z wagonów i rozwożone na poszczególne budowy. Czynnosciami tymi kierował młody człowiek, tam mieszkający i zatrudniony na etacie magazyniera.

Przy tej stacji, okazało się, funkcjonowała złodziejska spółka, składająca się z naszego magazyniera, dużurnego ruchu PKP i magazyniera GS-u. Wagony z cementem zostały zepchnięte na koniec bocznic GS-u, zastawione innymi wagonami i oczekiwały zapewne, aż burza uciśnie, a poszukiwania ustaną. Na budowach brakowało cementu... Wagony znalazłem i zidentyfikowałem na podstawie numerów podanych w posiadanej przez przedsiębiorstwo fakturze. Stały one już około dziesięciu dni i, jak mówili miejscowi ludzie, ład moment cement miał być sprzedawany okolicznym rolnikom, bezpośrednio z wagonów.

Magazynier poszedł siedzieć. Nie był to jego pierwszy złodziejski „wyczyn”, gdyż rozliczenie jego działalności wykazało znaczne braki innych materiałów, jak cegły i kamienia budowlanego.

Podobnych skutecznych „akcji” było wiele w ciągu kilku pierwszych tygodni mojej pracy w przedsiębiorstwie. Znalazło się dużo uczciwych ludzi, którzy chcieli, aby ich przedsiębiorstwo dobrze funkcjonowało, aby miało dobrą opinię. Największym moim sojusznikiem w tej wojnie ze złodziejami okazała się Rada Robotnicza. Istniała ona już blisko rok, lecz nie przejawiała żadnej działalności. Trzeba było dopiero dać impuls do działania, trzeba było wytworzyć odpowiedni klimat, aby i Rada Robotnicza i inni pracownicy poczuli się odpowiedzialnymi za swoje przedsiębiorstwo.

Jak się później dowiedziałem, moimi informatorami o kradzieżach byli właśnie członkowie Rady Robotniczej. Przewodniczył jej kierowca cieżarówki, były zawodowy podoficer z wojska, który szczególnie energicznie zabrał się wówczas do robienia porządków w przedsiębiorstwie. Był to połączony, silny chłop, z którego śmiano się, że na obiad zjadał donicę klusek z serem. Ściagał on różnych złodziei, złodziejek i marnotrawców, a karę, jak mi mówiono, wymierzał sam, potężną swoją pięścią. Gdy mu kiedyś powiedziałem: „Panie Franciszku, tak nie można, oskarżaj pana za pobicie”, odpowiedział mi: „Panie dyrektorze, taki s-syn woli dwa zęby stracić, aby nie iść do więzienia, a ludzi nam brak, musimy ich wychować”. I miał rację, bo były klopyty z obsadzeniem stanowisk po zwolnionych pracownikach. Gdy kiedyś na odprowadzeniu kierowników budów powiedziałem, że w naszym przedsiębiorstwie społeczna funkcja

przewodniczącego Rady Robotniczej jest równa randze zastępcy dyrektora, autorytet przewodniczącego mocno urosł. Miałem wówczas ogromną pomoc przewodniczącego i całej Rady nie tylko przy wprowadzaniu porządku, ale również w utrzymaniu dyscypliny pracy i wykonywaniu planowanych zadań.

We wrześniu zabrałem się do brukowania placów i dróg dojazdowych na terenie siedziby przedsiębiorstwa. Roboty brukarskie wykonywały brygady z wydziału PPRN, a wszystkie pomocnicze prace ziemne i podsypkowe, w większości czynem społecznym — pracownicy naszego transportu (kierowcy, ładowacze), pod komendą przewodniczącego Rady Robotniczej, często do późnych godzin nocnych, przy świetle latarni elektrycznych.

Opowiedziano mi, że w czasie, gdy te roboty już kończono, wywiązała się taka rozmowa pomiędzy brukarzami, a kierowcami. Brukarze: „Gdyby nie nasz kierownik, to dalej topilibyście się w tym waszym błocie i lamali samochody”. Kierowcy: „To nie wasz kierownik, ale nasz dyrektor”. Brukarze: „Nieprawda, od 1 stycznia przychodził z powrotem do nas”. Nazajutrz rano przyszła do mnie grupa pracowników: główny księgowy, sekretarz POP, przewodniczący Rady Zakładowej, kilku kierowników budów, a na jej czele — przewodniczący Rady Robotniczej. „Co to znaczy?” — zapytałem. Wyczułem, że mieli do mnie jakąś pretensję. Odpowiedziałem, że rzeczywiście mam umowę z przewodniczącym Prezydium PRN, gwarantującą mi powrót na poprzednie miejsce pracy. Jednak widzę, że w przedsiębiorstwie jest z kim pracować i nie muszę wcale wracać, lecz ostateczną decyzję podejmę i podam ją do wiadomości 31 grudnia.

Gdy nadszedł ten dzień i zebrała się cała kadra kierownicza wraz z Radą Robotniczą, Zakładową i organizacją partyjną, podziękowałem wszystkim za dobrą pracę i powiedziałem, że zostaję. A było za co dziękować, bo przedsiębiorstwo było już inne, niż pięć miesięcy temu.

Wprawdzie strat nie zdołaliśmy odrobić i Powiatowa Rada Narodowa musiała dać wysoką dotację, ale już w następnym roku spłaciłmy jej część, bowiem wygospodarowaliśmy wysokie zyski, a komisja dzieliła po raz pierwszy wysokie zakładowy fundusz nagród.

W następnych latach mieliśmy zawsze opinię dobrze pracującego przedsiębiorstwa, a we współzawodnictwie zakładowym zajmowaliśmy czołowe miejsca. Jakość robót budowlanych wykonywanych przez naszą załogę była oceniana jako jedna z najlepszych w województwie.

Zostałem w przedsiębiorstwie i pracowałem w nim na dyrektorskim stanowisku przez 17 lat. W tym czasie zatrudnienie zwiększyło się ponad dwukrotnie, ale ilość i wartość wykonywanych robót blisko dziesięciokrotnie. W ogóle zmieniło się przedsiębiorstwo. Drewniane baraki zamieniły się w piękne gmachy, zmienił się sposób i rodzaj wykonywanych robót. Wzniesiona własnymi siłami fabryka domów dostarczała prefabrykatów do budowy całych osiedli mieszkaniowych.

Mnie władze przeniosły do innego przedsiębiorstwa z zadaniem organizowania nowych przedsiębiorstw, ale w tamtym pozostałi ludzie, którzy w październiku 1958 roku rozpracowali wraz z mną generalne porządkowanie gospodarki i postaw pracowników, ludzie, którzy do dziś są tam najlepsimi

(Jest to druga część pracy, która otrzymała III nagrodę — w poprzednim numerze podałem omyłkowo, że — II nagrodę, ale przecież i nagrody jury nie przysłały — w konkursie „Kamień” na wspomnienia z okazji 40-lecia Polski Ludowej).

najczęściej młodzież szkolna. Urządzone również są wystawy, gdzie eksponuje się fotografie i rzeźby, przygotowuje czasem przy współpracy wydziału wychowania plastycznego UMCS. Również studenci pedagogiki kulturalnej UMCS odbywają w ZDK w Poniatowej wakacyjne praktyki zawodowe.

Wszystko, o czym napisałam, to jest, oczywiście, stała, codzienna działalność Domu Kultury, obok której zdarzają się często imprezy i uroczystości szczególne, wymagające znacznej pracy i przygotowań ze strony nielicznego przecież zespołu pracowników. Szczególną uwagę przywiązuje Dom Kultury do organizowania dorocznego święta Poniatowskie Sobótki, które odbywa się 23 czerwca nad zalewem, z licznymi konkursami, zawodami, nagrodami, itp.

Kiedy oglądam Zakładowy Dom Kultury jestem szczerze zdumiona, nie spodziewałam się bowiem, że w tym z pozoru zapytałym miasteczku tak wiele się dzieje. Ale pani dyrektor narzeka skromnie, że po roku 1990 nastąpiło pewne ograniczenie działalności, z powodu kryzysu w zakładzie. Sytuację tę jednak bardziej, niż odbiorcy kultury, odczuwają raczej sami pracownicy ZDK, finansowa strona ich pracy nie wygląda najlepiej, uposażenie ma znacznie niższe, niż w tzw. placówkach kulturalnych pionu państwowego. Oczywiście, nikogo to nie zniechęca do pracy, kierownictwu i pracownikom nie przyszło nigdy do głowy, że w takiej małej miejscinie można by w końcu proponować cokolwiek, nawet rodzaj kultury z bonifikatą.

To przekonanie, że w Poniatowej można i trzeba bez taryfy ulgowej, bez usprawiedliwiania się kryzysem i trudnościami towarzyszy chyba także pracownikom Miejsko-Gminnego Domu Kultury, mimo że warunki są tu naprawdę wyjątkowo skromne, a pracowników tylko czterech (nie ma więcej etatów), mimo że opieką kulturalną muszą objąć miasto i gminę, licząc 14,5 tys. mieszkańców. Szeroki zakres działalności ZDK pozwala miejsko-gminnemu ośrodkowi rozszerzyć pracę bardziej na teren gminy. Choć, jak twierdzi dyrektorka MGDK, upowszechnianie kultury na terenie gminy Poniatowa jest przedsięwzięciem nielatnym. Niezwykle kłopotliwy jest dojazd do poszczególnych wsi, komunikacja jest tu wyjątkowo niedobra, a samochód dla Domu Kultury pozostaje na razie w sferze obietnic Wydziału Kultury i Sztuki. Istotnym problemem jest także brak we wsiach placówek kulturalnych. Właściwie tylko w trzech wsiach na terenie gminy istnieją tego typu ośrodki. W miejscowości Poniatowa Wieś, liczącej około 500 mieszkańców, otwarto niedawno Klub Młodego Rolnika, będący przede wszystkim miejscem spotkań młodzieży, ale istnieje tu także klub seniora i prowadzone są zajęcia z dziećmi, głównie plastyczne. Dzieci otacza się zainteresowaniem także w innych miejscowościach. W Dąbrowie Wronowskiej, gdzie również istnieje placówka kulturalna, mieszkający tu na stałe instruktor prowadzi dziecięcy teatrzyk. W niektórych wsiach, gdzie nie ma ośrodków kultury, organizuje się poszerzoną działalność w zakresie kultury w szkołach (np. w Niezabitowie). Tworzeniem życia kulturalnego w swoich wsiach są zainteresowani

także dorośli. W Kroczevicach istnieje chór Koła Gospodyń Wiejskich i teatralny zespół obrzędowy, skupiający się w miejscowym ośrodku kultury, we wsi Kowala działa zespół śpiewaczy „Kowalanki”. Instruktorzy Miejsko-Gminnego Domu Kultury w Poniatowej, którzy docierają do wsi, starając się poznać problemy ludzi, twierdzą, że zainteresowanie sprawami kultury wśród dorosłych jest niewielkie. Na wsi brak może nie tyle zainteresowania, przede wszystkim... instruktorów kulturalnych.

W ośrodku organizowane są kursy dla instruktorów, w tym zakresie utrzymywana jest ciągła współpraca z Wojewódzkim Domem Kultury w Lublinie, który prowadzi stale kursy dla dyrektorów i instruktorów z placówek miejskich i gminnych. Pracownicy WDK często odwiedzają Poniatową, zresztą organizowane są tu niekiedy imprezy wojewódzkie, w roku minionym odbył się Ogólnopolski Konkurs Teatrów Amatorskich. Dla ludzi z odległych miejscowości poniatowski Dom Kultury stara się umożliwiać spotkania z kulturą „miejską”, organizując wyjazdy do kina, do teatru.

Mimo skupienia szczególnej uwagi na pracy w terenie, ośrodek proponuje także pewne formy działalności na miejscu, choć warunki ku temu są wyjątkowo skromne. Alcja Sztambor prowadzi tu dwa zespoły teatralne, dziecięcy „Amorek” i dziesięcioosobowy zespół młodzieżowy „Amor”, który miał możliwość pokazania się na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich. Dom Kultury utrzymuje także stałą współpracę ze szkołami, LO i Zespołem Szkół Technicznych, gdzie od-

bywają się konkursy recytatorskie. Istnieje tu ponadto klub fotograficzny, a w niedalekiej przyszłości, kiedy biblioteka przeprowadzi się do innego lokalu, możliwe będzie urządzenie pracowni plastycznej. Obecnie ośrodek nie ma właściwie większych kłopotów z funduszami i, gdyby nie ciasnota, mogłyby rozwijać inne jeszcze formy pracy kulturalnej. Na razie i tak dość rozsądnie zagospodarowano cztery niewielkie pomieszczenia, gdzie oprócz wspomnianej już działalności znajduje jeszcze miejsce poniatowska Kapela Ludowa. Zespół „Scholares Minores pro Musica Antiqua”, mimo że częściowo podlega Miejsko-Gminnemu Ośrodkowi Kultury, ma odrębne pomieszczenie w innym punkcie miasta, zresztą istnieje właściwie pod opieką Towarzystwa Muzyki Dawnej. Ale o „Scholares Minores...” nie wypada nawet pisać, zespół jest powszechnie znany, daleko poza granicami Poniatowej, jest jakby wizytówką kulturalną miasta, sama zresztą myślałam, że poza „Scholares Minores...” nie więcej tu nie ma. Niedawna wizyta w miasteczku przekonała mnie, że nie jest to jednak kulturalna pustynia. Wizyta w Poniatowej utwierdza mój pogląd, że prowincjonalizm niewiele ma wspólnego z geografją, z odległością od stolicy, czy miasta wojewódzkiego, i że słuszną łącząc to pojęcie z ciasnotą myślenia, minimalizacją wymagań, schlebaniem bylejakości i tandecie...

Lidia Wójcik

Święta Wielkiej Nadziei

Wielka Encyklopedia PWN, w tomie XII:

Wielkanoc, najstarsze, a zarazem główne święto w chrześcijańskim roku liturgicznym, obchodzone jako pamiątka zmartwychwstania Chrystusa; po długotrwałym sporze, na soborze nicejskim (325 r.), nawiązując do żydowskiego święta Pascha, ustalono ostatecznie termin obchodzenia Wielkanocy na pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca (między 22 marca, a 25 kwietnia).

Czterotomowa Encyklopedia Powszechna PWN, wydana w dekadzie „sukcesu”, hasła tego już nie dostrzegła, mimo dość oczywistego znaczenia Wielkanocy w życiu Polaków, ich historii i tradycji narodowej. To tytułem informacji wstępnej...

Dodać wypada, że do święcenia Wielkanocy w różnych krajach włączono także lokalne obrzędy pogańskie, mające niewiele wspólnego z tradycją chrześcijańską. W Polsce, na przykład, wykonywanie pisanek i kraszanek czy śmigus dyngus.

Obliczenie, ilu Polaków obchodzi Święta wielkanocne, jako integralnie związane z wiarą, nie zaś tylko jako dni wolne od pracy, jest praktycznie niemożliwe. Z pewnością jest to liczba ogromna. Nie jest to jednak święto tylko katolickie, a precyzyjniej: rzymskokatolickie. To — zdaloby się — oczywiste stwierdzenie skonfrontowane z realiami i obiegowymi opiniami jakby traci na oczywistości. I często testem prawdziwego obchodzenia Wielkanocy staje się fakt noszenia lub nienoszenia jaj do święcenia w kościele. W cieniu tego „testu wiary” żyją w naszym społeczeństwie również inne, niż rzymskokatolickie, grupy wyznaniowe i o tym należy pamiętać nie tylko poprzez aspekt tradycyjnej polskiej tolerancji, ale także, a może nade wszystko, kultury osobistej.

Poprosiliśmy lubelskich zwierzchników religijnych kilku kościołów chrześcijańskich o spotkanie i udzielenie odpowiedzi na dwa pytania: 1) Czym jest Wielkanoc w doktrynie, tradycji i praktyce ich wyznania? 2) Czego z okazji świąt chcieliby życzyć współwyznawcom, a także wszystkim Polakom i krajowi, w którym żyją?

Odpowiedzi na powyższe pytania poprzedzają krótkie informacje na temat samych kościołów.

Pastor JÓZEF SICZEK, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, Zbór I (Ewangelicznych Chrześcijan), przewodniczący Regionalnego Oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej:

● Kościół nasz powstał w 1953 roku z połączenia czterech, znacznie starszych kościołów chrześcijańskich, stąd nazwa. Tworzą go: Kościół Chrystusowy, Związek Ewangelicznych Chrześcijan, Związek Stanowczych Chrześcijan i Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej (Zielonościaków). Posiadamy 124 zbory na terenie kraju, w tym 18 Kościoła Chrystusowego, 21 — Związku Ewangelicznych Chrześcijan, 6 — Związku Stanowczych Chrześcijan, pozostałych 79 należy do Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej. Społeczność naszą liczy około 15 tysięcy wiernych, z czego w Lublinie blisko tysiąc, włączając członków rodzin naszych braci i sympatyków, którzy w niedługim czasie zostaną braćmi. Zbór I, któremu przewodniczę, liczy około czterystu osób.



Pastor Józef Siczek

Zjednoczony Kościół Ewangeliczny jest kościołem protestanckim, co oznacza, iż w naszej doktrynie zawarte są podstawowe zasady protestantyzmu, m.in. nieuznawanie prymatu papieża i nieuznawanie kultu Marii. Naturalnie papieża szanujemy i poważamy, jako wybitną postać świata chrześcijańskiego, podobnie też wielkim szacunkiem otaczamy postać Marii; uznajemy ją za istotę ludzką, która zgodziła się zostać matką Jezusa. Dopuszczamy chrzest jedynie osób świadomych i pełnoletnich. Nie uznajemy celibatu. W dużym skró-

cie są to zasadnicze różnice dzielące nasze wyznanie od katolickiego. Posiadają one naturalnie swoje uzasadnienie teologiczne w oparciu o Pismo Święte.

● Święta, które się zbliżają, są czasem, kiedy wspominamy zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. I on jest tą skupiającą osobą, źrenicą i sercem kościoła chrześcijańskiego. Wokół niego jesteśmy skupieni wiarą. Wierzymy, że umarł i zmartwychwstał w nowym ciele. Podobnie też wierzymy w zmartwychwstanie wszystkich ludzi, gdy przyjdzie Chrystus. Kiedy to nastąpi, nie wiemy. Wiemy jednak, że tak będzie. Oczekujemy tego, bo kościół chrześcijański jest kościołem oczekującym. Właśnie Wielkanoc jest szczególną okazją do skierowania myśli w kierunku Jezusa Chrystusa i drogi, jaką przebył od narodzin poprzez Golgotę do zmartwychwstania. Drogi, która wskazuje, że zmartwychwstanie może być naszym udziałem. Jednocześnie jest też okazją do zastanowienia się w jakim punkcie swojej drogi jesteśmy. Co powinniśmy robić, aby doskonalić się, stawać się w coraz większym stopniu ludźmi. Wielkanoc niesie też i przesłanie nadziei, iż nie ma takich okoliczności, z których nie zdołalibyśmy się podnieść, podźwignąć do nowego życia, do nowego działania. Święta te są świętami wielkiej nadziei i wielkiego optymizmu, które oby nam zawsze towarzyszyły.

● Zyczenia swoje chciałbym skierować jednocześnie pod adresem moich współwyznawców, jak też wszystkich chrześcijan, ludzi wierzących, poszukujących i niewierzących. Nie znajduję żadnego powodu, abym czynił to oddzielnie. Chciałbym zatem przekazać wszystkim, którzy czują się Polakami, obywatelami naszej ojczyzny od Buga do Odry, słowa błogosławieństwa bożego. Życzę błogosławieństwa bożego wszystkim rodakom — od najmniej skomplikowanych stanowisk pracy, aż po urzędy przywódcze. Zwłaszcza rządzącym, od których decyzji zależą losy kraju i nasza pomyślność, życzę wielkiej mądrości i roztropności w kierowaniu naszym wspólnym domem. Za wszystkich Polaków kieruję do Boga słowa modlitwy.

Pastor WŁADYSŁAW RUDKOWSKI, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, Zbór II (Zielonościaków):

● Jak już wspomniał mój poprzednik, brat Siczek, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej należy do Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, którego stanowi pokaźną, liczącą około 70 proc. część. Można zatem przyjąć, iż Zielonościaków liczy w kraju ponad 10 tysięcy osób. W Lublinie jest nas około 600 osób, wliczając dzieci ochrzczonych dorosłych braci, a także sympatyków. Ugrupowania zielonościakowe w łonie Zjednoczonego Kościoła (oprócz nas, także Związek Stanowczych Chrześcijan) różnią się od pozostałych kościołów (probaptystycznych)

pojmowaniem zesłania Ducha Świętego. Probaptyści łączą ów fakt z czasami tylko apostołskimi, my natomiast uznajemy jego nieustającą aktualność, stąd też takie znaczenie przywiązujemy do Zielonych Świąt, czyli dnia zesłania Ducha Świętego. Jest to w zasadzie jedyna różnica. Ponadto nasza liturgia jest bardziej charyzmatyczna, bardziej skierowana na połączenie w modlitwie z Jezusem Chrystusem.

● Wielkanoc, święto zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, jest dla nas, podobnie jak dla wszystkich chrześcijan, wielką nadzieją i ufnością, że odchodząc z tej ziemi ludzie kiedyś zmartwychwstaną na głos Pana. Ze przejdą do wieczności, gdzie nie będzie lez, bólu, skażenia, zła, nienawiści, krzywdy. Tego wszystkiego, od czego boleliśmy, co gnębi narody, sieje niepokój. Wielkanoc przypomina nam, że wszyscy możemy być równi w Chrystusie, a więc tu, na ziemi, równymi jesteśmy już dziś. Płynię stąd nauka, iż żaden człowiek nie może wywyższać się nad drugiego, dążyć do przewagi nad nim. To samo dotyczy państw i narodów świata. Jakikolwiek państwo nie może narzucać swojej woli innemu czy innym państwom. Nie może zagrażać, wywierać nacisku i szantażu. Prawda ta nabiera dramatycznej oczywistości w świecie wyposażonym w nowoczesne środki masowego niszczenia życia, dobra doczesnego i duchowego. Święto Wielkiej Nadziei powinno być zatem także świętem refleksji nad naszą ziemską rzeczywistością i drogą, po której zmierzamy.



Pastor Władysław Rudkowski

● Zyczenia chciałbym rozpocząć słowami apostoła Pawła. Obchódźmy święto nie w kwasie złości, nienawiści i obudy, ale w praśnikach szczerości i prawdy. Albowiem nasz baranek został za nas ofiarowany i Jezus Chrystus. Życzylbym, aby wszyscy rodacy mogli żyć szczęśliwie w pokoju, jedności, braterstwie i zrozumieniu potrzeb swoich bliźnich, we wzajemnej pomocy. Władzom życzylbym, aby prowadziły nas najkrótszą drogą do wyjścia z kryzysu ekonomicznego i moralnego. Zebymy jako jeden naród mogli żyć spokojnie, w wolności, tolerancji, szczęściu. Zebymy mogli pamiętać o tych, którzy nie mogą zaznać pokoju, sytości i szczęścia. Chciałbym życzyć, abyśmy w Wielkanoc mogli złożyć ofiary na głodujących i cierpiących w Afryce, wypełniając naukę Chrystusa. Życzę wszelkiej pomyślności osobistej, rodzinnej i błogosławieństwa bożego.

Ksiądz BOGUSŁAW WOLYŃSKI, Kościół Polskokatolicki:

● Kościół Polskokatolicki powstał w Polsce w latach 20-tych w wyniku działalności misyjnej Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w USA. Jego też uznajemy za naszego protoplastę. Traktujemy oba kościoły jako jedno wyznaniową i duchową. Tak więc początki naszego kościoła sięgają XIX wieku, kiedy Polacy emigrujący do USA zaczęli skupiać się w grupy wyznaniowe i budować świątynie. Jednakże hierarchia duchowna, tak w diecezjach, jak i parafiach zamieszkałych przez Polaków, była innego pochodzenia (Włosi, Niemcy, Irlandczycy, Anglicy, Francuzi). Polacy zadawali sobie pytanie, dlaczego nie mogą mieć polskich proboszczów i biskupów; skoro mają to inni. Również wszelkie nieruchomości kościelne budowane przez Polaków zapisywane były na konto biskupów, co bulwersowało i rozgoryczało. Wreszcie



Ksiądz Bogusław Wotyński

Polacy postanowili pójść własną drogą. Po niedopuszczeniu delegacji polskiej do papieża, zdecydowali się utworzyć własny kościół narodowy. Papież natychmiast nałożył ekskomunikę, czym jednak Polacy się nie przejęli, a ksiądz Franciszek Hodur otrzymał w Utrechcie, gdzie znajduje się Unia Kościołów Starokatolickich, sakrę biskupią. Było to w 1907 roku i odtąd datuje się dynamiczny rozwój kościoła w USA. Lata dwudzieste przyniosły powstanie pierwszych kościołów także w kraju, czemu towarzyszyły prześladowania zarówno ze strony władz, jak i społeczności rzymskokatolickiej. W 1946 roku Kościół Polskokatolicki uzyskał pełne prawo działania, a w 1951 r. u-samodzielił się, przestając być filią kościoła amerykańskiego, czemu towarzyszyła zmiana nazwy na obecnie używaną. Obecnie kościół nasz liczy około 80 tysięcy wiernych, w tym około 1000 w Lublinie.

Nasza doktryna i liturgia są bardzo zbliżone do rzymskokatolickiej. Nie przyjmujemy jednak dwóch dogmatów przyjętych na Soborze Watykańskim I: o jurysdykcji papieskiej nad wszystkimi chrześcijanami i o nieomyślności papieża, podobnie jak wszystkie kościoły ekumeniczne. Osobę papieża naturalnie wielce poważamy, lecz uznajemy go za jedynie przywódcę duchowego wedle zasady primus inter pares.

● Wielkanoc zajmuje w naszym kościele miejsce szczególne, jako podkreślenie wielkiej tajemnicy, którą jest przejście przez śmierć ku życiu. Prawda ta jest nie tylko prawdą, ale także nadzieją i drogowskazem dla wszystkich wierzących w Chrystusa. Idą oni wszak podobną drogą: przez cierpienie, mękę, choroby ciała i ducha ku śmierci. Wierząc jednak w naukę Chrystusa, jego zmartwychwstanie może stać się także naszym udziałem. Tę wielką prawdę nasz kościół co roku ukazuje.

● Polsce, naszej ojczyźnie, naszemu krajowi chciałbym życzyć zmartwychwstania ku nowemu, lepszymu życiu. Zmartwychwstania, przede wszystkim, w dziedzinie ducha, etyki, moralności. Należy pamiętać, że wszelki kryzys gospodarczy poprzedzony jest na wiele lat przedtem kryzysem moralnym.

Nasz kościół powstał w USA na podłożu patriotycznego ukochania polskości w języku, tradycjach. To, iż dzisiaj Polonia amerykańska mówi jeszcze po polsku, kocha swój kraj, odwiedza go jest zasługą naszego kościoła. Należy życzyć wszystkim żyjącym w Polsce ukochania ojczyzny i poświęcenia dla niej wszystkich sił. Wierzę, że droga do podźwignięcia gospodarczego wiodzie właśnie przez podniesienie poziomu i wzbogacenie życia duchowego.

Pastor MARIAN WOJCIK, Kościół Adwentystów Dnia Siódmego:

● Kościół Adwentystów Dnia Siódmego powstał w I połowie XIX wieku, ale swoją tradycją, wierzeniami i praktyką nawiązuje do czasów apostołskich. Od początku działania adwentyści powołał organizację kościelną według systemu rządów demokratycznych, przedstawicielskich. Władze pochodzą z wyborów powszechnych. Już w 1969 roku liczyliśmy ponad 3 miliony wyznawców w 193 krajach, posiadaliśmy 14 wydziałów, 190 kościołów narodowych, 400 zjednoczeń, 30 tysięcy zborów, 60 tysięcy duchownych, 44 instytucje wydawnicze. Tam, gdzie jest to możliwe i potrzebne, kościół prowadzi szkolnictwo. Posiadamy trzy uniwersytety, w tym jeden medyczny, liczne szkoły średnie

i podstawowe. Prowadzimy szeroką akcję charytatywną, mamy własne szpitale, przychodnie, zajmujemy się zwalczaniem plag społecznych (alkoholizmu, nikotynizmu, narkomanii), propagujemy zasady zdrowego trybu życia. Obecnie liczymy 5,5 mln wyznawców na całym świecie, z czego około 7,5 tys. w Polsce, zaś w Lublinie 200 wiernych. Są to ludzie całkowicie wyzwoleni z nalogów, o których mówiłem. Aktywnie włączamy się w zwalczanie patologii społecznej i na miarę możliwości służymy pomocą wszystkim, którzy jej potrzebują. Na tę, jaką ważną w naszym programie, działalność istnieje dziś realne zapotrzebowanie. Mamy dwa motywy tej działalności: motyw zdrowia i motyw religijny (ciało jest wszak świątynią, kościołem dla Ducha Świętego, a na przyjście Chrystusa ma być przygotowane, jak mówi apostoł Paweł, przygotowany duch, dusza i ciało; zatem ma ono wartość, którą należy cenić). Naturalnie działalność społeczną, religijną i charytatywną prowadzimy także w obrębie naszej społeczności.

Doktrynalnie Kościół Adwentystów Dnia Siódmego zalicza się do grupy wolnych kościołów protestanckich. Uznajemy chrystocentryzm, co oznacza, iż Jezus Chrystus jest naczelną postacią naszego wyznania, zaś jedynym źródłem Biblia bez żadnych dodatkowych przekazów i tradycji ustnej. Wierzymy w rychłe nadejście Chrystusa, co ma odpowiednie konsekwencje w doktrynie kościelnej.

● Święta wielkanocne mają tradycję sięgającą XV wieku przed Chrystusem i wywodzą się z żydowskiego święta Paschy. Według tradycji, naród wybrany został wyprowadzony przez Boga z niewoli egipskiej, a ocalony dzięki ofierze baranka paschalnego. Tę Paschę obchodzono każdego roku, aż do czasu, gdy Jezus wraz ze swoimi uczniami święcił ją po raz ostatni i umarł, jako



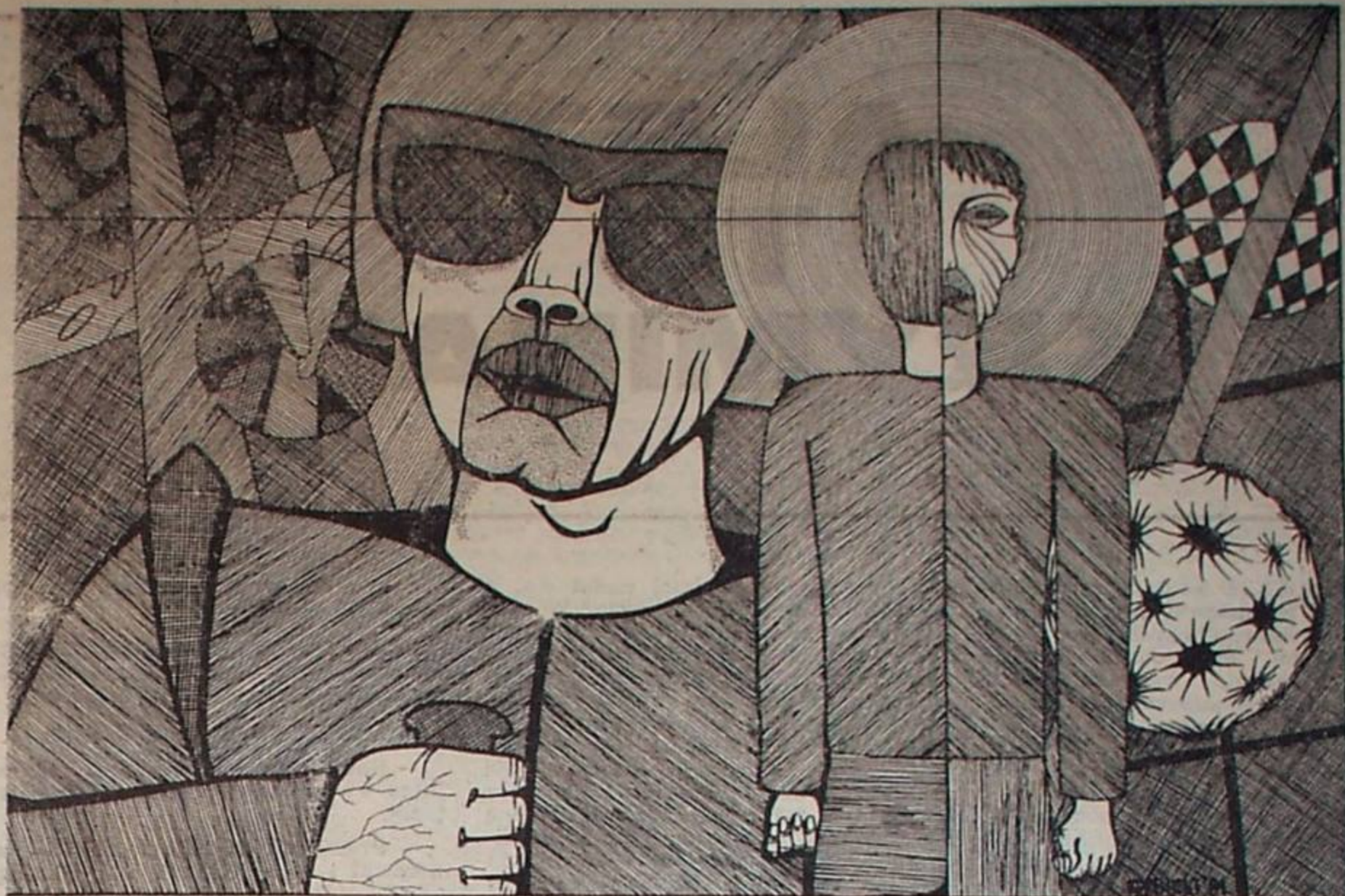
Pastor Marian Wójcik

ten zapowiadany baranek paschalny, na krzyżu. Ale Chrystus zmartwychwstał i w jego zmartwychwstaniu mamy nadzieję zwycięstwa z niewoli grzechu. Zmartwychwstał w podwójnym wymiarze. Po pierwsze, w naszym życiu, jako wyzwoleni od grzechów do nowego życia. Po drugie, jako nadzieja, że gdy umrzemy nadejdzie dzień naszego zmartwychwstania do życia wiecznego, a zmartwychwstanie Chrystusa jest tego gwarancją. Jest to wielka nadzieja dla nas. Wskazująca, że przez wiarę w śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa możemy zmieniać nasze życie i otaczający nas świat.

● Chciałbym życzyć moim współwyznawcom, aby to wielkie wydarzenie: zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa było ciągle w naszej pamięci, jako nadzieja naszego zbawienia. Tego również życzę wszystkim braciom w Chrystusie. Całemu narodowi polskiemu życzę, aby zmartwychwstanie Chrystusa przyczyniło się do odrodzenia duchowego, pojedynania narodowego dla dobra naszego wspólnego domu, którym jest ojczyzna.

Przedstawiając powyższe wypowiedzi, mamy nadzieję, iż przyczynią się do częściowego wypełnienia luki informacyjnej na temat wyznań mniejszościowych w Polsce. Lukę tę zamierzamy wypełniać nadal. Rozmówcom dziękujemy za wspólnie spędzony czas wyrażając nadzieję, iż był on wzajemnie pożyteczny.

Oprac.: PM
Foto: Robert Lipski



Rys. Mariusz Rybicki

Waldemar Michalski

MIASTO NOCA

*U brzegu nocy jak pamięć sięga ogrody:
arkadia pełna łeczowych mostów
i bram jak opuszczone łóżka.*

*Na miejskim forum z fontanną
poeta w bieli
głosi chwałę pełnego dzbana.*

*Po klasztornej murach srebrem dzwoni
milicjant płaszczy nos do szyby
w neonowych żyłach neonowa krew.*

*Miasto moje jak Gioconda
usypia w swoim ulicznym oratorium:
i ściany stają się wygodnym łóżkiem.*

MAMY DZIAŁKĘ

*Mamy działkę — mamy więc wspólny język
dość manifestów — zmieniamy układy
tylko nagie grządki
symetrycznie odmierzają świtania i wieczory
ziarna i plewy odsypie wiatr.*

*Odczytuję dziennik możliwości i nadziei
projekcja zwiariowanej litanii
w obrazie ogrodowej rewolucji tylko żelazne ustawy:
co posiane ma rosnąć
dość spowiedzi i agonii wyznań
życie, samo życie, nosem przy ziemi.*

*Moja wieczna powieść ojczyzna
całą gębą się ciśnie do gardła
krzepka jak rzepa — bywa jak zdrowie
w wieczniku maciejski pozęglujemy
na morzu zielone bez końca gdzie miłość
wszystko potrafi sterem i żagle
będąc od wschodu aż do zachodu.*

POETOM Z ULICY GRANICZNEJ

*Stopnie progu „parafti poetów”
w połowie stromej ulicy granicznej
wiernie cierpliwie były
jakby brał ich w opiekę dom cały.*

*Wokół stołu gotowi rodziwać szaty
(nie swoje) bić w stół pięścią*

*(nie własną) czujni na każdy dzwonek za ścianą
gdy piękna Dolores wysoko rozpiniała skoczną linę
która grata niczym struna potrącana o piers.*

*Wabili ją cukierkami — czytali swoje wiersze
tylko szalony swobodnie trwał na linie
nie umierał jak Chrystus
nie oddawał chlebem
nie nadstawił policzka:
papierowa korona czerniała w galerii portretów.*

*Umywali mu stopy uczniowie i pulchna Dolores
właśnie przelicza zbierane w turniejach trofea
wysoko gwiazdy filują dokola
przyjdzie się żegnać niebawem.*

Zofia Luchowska - Kuna

O NIEZNANEJ PORZE

*Już minął nasz sierpień
co wcale nie był nasz.
W krótkiej wędrówce przez sen
co igliwem opada w pamięć
złotawą jak żywica
— wchodzimy w las.*

*Tam, gdzie moglibyśmy być,
albo gdzie dojdziemy
o nieznanej porze. Podobno
wystarczy tylko
bardzo chcieć...*

*Ale jak rozpoznasz mnie,
gdy ja to tamta i ta
onieśmielona dziewczyna.
Z wątkoczem prawdziwym
słów o zapachu macierzanki.
— A ja to wcale nie ja ...*

*Czy uwierzysz w moje istnienie,
gdy zobaczę cię biegnącego
wśród drzew i nie zatrzymam
choćby na chwilę małą
jak przestrzeń naszych ramion.*

*Zbliża się jesienna cisza.
Nieuchwytna jak sarna
i kobieta z zebra stworzona.
Za to zielonooka.
Pełna w biuście.
Strzelista jak sosna
i cała twoja.*

ALEŻ TO KRYMINAŁ!

Bogdan Loeb

WKROCZYŁ na dziedziniec zamku. Spodziewał się, że widok tych murów wzruszy go i rozrzewni, lecz doznał uczucia głębokiego zawodu: wszystko wokół wydawało się być mniejsze od tego, co przechowywał w pamięci, skarłowaciałe. Nie odnawiane od dziesiątków lat ściany pokrywały lizzące osypujących się tynków kolumny kruzganków wyglądały, jak gdyby je poobgryzały szczury. Pomyślał: „Jak to filmować? Czy zażądać, by pomalowano te mury?”

Rozglądał się wokół i zastanawiał się dlaczego z taką nostalgią wspominał zawsze ten brudny dziedziniec, w którego rogu ciągle jeszcze stała stara pęknięta kładź: pomnik przechodni niechlujstwa kolejnych burmistrzów, przewodniczących prezydiów rad narodowych i naczelników tego miasteczka; to wszystko sfilmuje w świetle poranka, uczyni z tego końcówkę filmu. Odarte z woalów półcieni nagie kruzganki, pokryta lizającami odrażającą skórę zamku, brudne kąty, w które zmieciono śmieci i odpadki, resztki jedzenia i napitku na stołach tandentne papierowe lampiony. A na tym tle fragmenty przemówień dyrektora liceum, naczelnika Marka, jakiegoś innego ważniaka...

Obracał się powoli, spoglądając wokół „okiem kamery”. Tylko okna i drzwi liceum zostały niedawno na nowo pomalowane i jaskrawo odcinały się od całego w zaciekach, szarego tła. Podszedł do uchylonych drzwi szkoły i dopiero teraz spostrzegł schody prowadzące do piwnic. Były zupełnie nowe, z piaskowca, nie zdołano ich jeszcze zabrudzić. U ich stóp jaśniały debowe drzwi zdobione fantazyjnymi, pomalowanymi na czarno okuciami. Nad nimi wisiała latarnia i tarcza-szyld: „Sala rycerska”

Poznał go natychmiast, chociaż woźny całkowicie posiwił i jeszcze bardziej schudł.

— Można by zajrzeć do środka? Zbięram dokumentację, panie Pelka, i chciałbym tylko obejrzyć wnętrze.

— A pan skąd wiesz, jak ja się nazywam? — zdziwił się woźny, przyglądając się z profesjonalną podejrzliwością twarzy Andrzeja, jakby szukał w niej oznak skrywanego, uczniowskiego lajdactwa, albo usiłował sobie przypomnieć gdzie i kiedy widział już tego człowieka w wyplowiłym, dzinsowym uniformie.

— Wszyscy tu przecież pana znają, panie Pelka.

— Zapytam pana dyrektora, czy można wejść — zdecydował się na ustępstwo woźny.

— Proszę powiedzieć, że przyszedł Andrzej Kosek i chciałby zamienić parę słów.

— Andrzej Kosek... Kosek... Pan poczeka.

Wiedział, że drzwi „Sali rycerskiej” otworzą się zaraz przed nim na całą szerokość ale nadal stał na tym samym stopniu. Dopiero teraz zaczął odczuwać coś w rodzaju wzruszenia: oto za kilka sekund ujrzy człowieka, na którego widok drżał ze strachu w owe licealne lata. Będzie z nim rozmawiał, jak równy z równym. A może ten facet, który pojawił się tam w dole, nawet jeżeli znajdzie się ze swoim byłym uczniem na tej samej płaszczyźnie stopnia, będzie jednak mówił z

nim, jak gdyby Andrzej nadal stał o kilka schodów wyżej od niego? W każdym razie jeszcze nikt z jego kolegów nie rozmawiał z dyrektorem. Dyrektor słuchało się w milczeniu, a jeśli któryś z uczniów otwierał w jego obecności usta, to wyłącznie po to, by powiedzieć „Tak, panie dyrektorze”, albo „Nie, panie dyrektorze”, ale Andrzej widział kiedyś inną jego twarz, nie marsową, lecz rozjaśnioną promiennym uśmiechem, kiedy do liceum przyjechał przedstawiciel zarządu powiatowego ZMP, niewiele wówczas starszy od Andrzeja chłopiec. I ten fakt, ten jakimś cudem ocalały pośród tylu innych zmatowiałych obrazek, ciągle kolorowy i klarowny, teraz sobie przypominał i pod wpływem nagłego impulsu ruszył w górę schodów, ale przez trzech zaledwie kroków zatrzymałby mu chciał pogratulować.

— tak starannie wypracowaną dawną promienną powitania.

Ucisnął wąską, długopalcą dłoń. „Ręka pianisty” — pomyślał; przed laty nie zwracał uwagi na takie cechy.

— Dzień dobry, panie dyrektorze.

— Spodziewaliśmy się pana dopiero jutro. Przygotowywaliśmy godne powitanie.

— Proszę nie mówić mi „pan” — powiedział i pomyślał: „A niby dlaczego nie?”

— Głęboki szacunek, jaki żywię do pana, panie Andrzeju, nie pozwoliłby mi na inną formę. Jest pan chlubą naszej szkoły i miasta — powiedział dyrektor i powtórnie wyciągnął rękę, jakby chciał pogratulować.



Rys. Józef Tarłowski

— Ma pan dyrektor wspaniałą dykcję, niejeden aktor pozazdrościłby...

— Nauczyciel musi umieć tak, żeby tekst docierał do ostatnich ławek.

Andrzej patrzył na pokraśniałą z zadowolenia twarz. Dlaczego poczęstował go tym komplementem? Przecież to ten człowiek dwadzieścia lat temu zadecydował, że on musi natychmiast odejść z liceum. „Nie wolno mu nigdy więcej przekroczyć progu tej szkoły” — oświadczył ojcu i Andrzej już naza jutro był w drodze do Sanoka. Wyjechał, nie zdążywszy pożegnać się nawet z Michałem. Czy ten stary, szczerzący teraz do niego sztuczne zęby człowiek nie pamięta, że stał przed nim jego dawny podładny któremu on nie dał żadnej szansy obrony? Kiedy nadeszło to zaproszenie na jubileusz trzydziestopięcioletnia liceum, w pierwszej chwili zajął je i wyrzucił, ale potem pomyślał: „To jest temat na etiudę filmową”.

— Chcemy urządzić wszystko w tych właśnie pomieszczeniach — powiedział dyrektor; ujawniwszy Andrzeja pod rękę poprowadził go schodami w dół. — Może zechce pan spojrzeć fachowym okiem na wystrój wnętrza, doradzić łaskawie zmiany.

Zmiany zaszyły w tych piwnicach ogromne, szczerze zdumiało go to, co ujrzał. Więcej jednak zrobiono coś w zamku. To już nie były te ciemne zaszczerzone łochy, którymi wracał z nocnej wyprawy do kancelarii liceum. Oczyszczono cegły i kamienie, ktoś połączył je z drewnem i metalem w tchnącą prostotą kompozycję: stojąca pod ścianą szafa grająca została tu wniesiona już zapewne po wyjeździe projektanta wnętrza „Sali rycerskiej”. Kilka dziewcząt i chłopców, pod wodzą woźnego Pelki, polerowało podłogi, świeczniki, wiszące tu i ówdzie na ścianach tarcze i części zbroi rycerskich.

— Gustownie — powiedział Andrzej — Nic dodać, nic ująć.

— Prawda? — ucieszył się dyrektor — Pomieścimy się tu wszyscy. Stoły ustawimy w dwa rzędy, oświetlimy świecami. Żadnej, proszę pana, elektryczności, ani muzyki typu je, je, je. To będzie wieczór wspomnień, trochę aranżowany, oczywiście, ale nie wykluczam momentów improwizacji. Co pan, jako fachowiec o tym wszystkim sądzi?

— Pomysł jest świeży...

— Irena Cukrowska, to przecież nasza wychowanka. Potwierdziła telefonicznie swój udział.

— Cukrowska... Oczywiście...

— Na pewno chętnie uświetni uroczystość kilkoma piosenkami... No, i pan przede wszystkim.

— Ależ ja mam fatalny głos!

— Proszę nie żartować, chociaż zapewne zaśpiewać pięknie również by pan potrafił. My liczymy, że opowie nam pan o swojej fascynującej pracy oraz o karierze.

— Wszystko? Od samego początku? — zapytał Andrzej i już żałował, że dał się ponieść emocji, ale dyrektor jak gdyby w ogóle nie usłyszał pytania.

— Mamy również naszego absolwenta na uniwersytecie — kontynuował — Obiecał, że załatwi nam żaka lutnistę z uczelnianego zespołu.

— Będzie mógł zankompaniować Cukrowskiej.

— Tak, oczywiście, chociaż szczerze mówiąc, myślałem o fortepianie — powiedział Andrzej dopiero później dowiedział się, że wnuczka dyrektora jest uczennicą liceum muzycznego.

— Czy te piwnice należą do naszej szkoły?

— Ależ skąd! To wszystko kosztowało miliony. Nam tylko wypożyczono pomieszczenia dzięki uprzejmości naczelnika miasta. Nawiasem mówiąc, on również jest naszym absolwentem.

— Ach tak — powiedział Andrzej i skierował się ku schodom.

Któryś z chłopów urochomił szafę grającą, buchnął ostry, pulsujący rytmem rock. Dyrektor przybliżył się złości. Taka niesubordynacja. Coś krzyknął, ale jego słowa zabrzmiały jak myślniki w te, nawalnicy decybeli. Zaczął machać rękami, jak gdyby dzwienki gitary elektrycznej zamieniły się w rój rozszczępczonych os. Trzech chłopów podbiegło do szafy grającej i muzyka umilkła.

— Który to zrobił? — zapytał dyrektor. Uczniowie stali na baczność obok skrzyżnia szafy, niby żołnierze przy swoim czolg podcaz inspekcji dowódcy. Pozostali, zarówno dziewczęta jak i chłopcy, także wyprostowali się, chociaż nie wszyscy znajdowali się akurat w zasięgu wzroku dyrektora.

— To niechcący, panie dyrektorze — bąknął najniższy wzrostem.

— Potem sobie to wyjaśnimy.

— Tak, panie dyrektorze.

— Proszę kontynuować pracę.

— Tak, panie dyrektorze — odpowiedział mu składny chór mieszany.

Andrzej skinął im głową i wstąpił na schody. Dyrektor siedział obok niego, jego oddech stawał się coraz głośniejszy, denerwująco świszczący, lecz Andrzej nie zwolnił tempa wspinaczki na wysokie stopnie, budowane dla nóg chwackich rycerzy.

— Do widzenia, panie dyrektorze — powiedział. Ten łapczywie chwytal ustami powietrze, jego lysa czaszka usiana była kropelkami potu. Najwy-



TAK — powiedział Wladek. Był zupełnie trzeźwy, tylko jego smutna twarz zrobiła się nagle małym przykra. — To dobrze, że masz nadzieję — rzekł cicho. — Ja jej nie mam. Nie wierzę, żeby w tym piekle była jakaś furka.

— Głupstwo — mruknął Kuba; kręcił w palcach kulke chleba.

— Zaczynałem tak samo jak tamten chłopak — powiedział Wladek — Miłość zdrada i takie różne gówna... — Roześmiał się. — Byłem kiedyś najlepszym saksofonistą w tym kraju.

— Saksofonistą? — powtórzył bezmyślnie Kuba. — Saksofonistą... To dziwne. — Spojrzał na Władka. — Nie wyglądasz na saksofonistę, bracie.

— Byłem nim — z uporem powtórzył Wladek. Spłótł i zacisnął palce; stały się nagle białe. — Nikt nie grał tak jak ja.

— Co z tego?

— Nic.

— Co potem?

— Też nic.

— Więc po czorta mi to opowiadasz?

— Wcale ci nie opowiadam. Mówię.

— Mów dalej. Jaki koniec? Ważny jest koniec, pointa. Tak tak, pointa jest najważniejsza.

— Nie jestem już najlepszym saksofonistą.

— Starczy — powiedział Kuba. — Żeby ludzie potrafili tak krótko opowiadać o swoim głupim życiu, byłoby o wiele lepiej. Nienawidzę facetów, którzy skamlą. Ja jestem inny. Lubię twardych. Ale jeśli chcesz mi opowiedzieć swoją historię, proszę bardzo. Bardzo lubię życiowe, pouczające historie.

— Moja jest krótka. Kochałem się.

— Należy ci zazdrościć świeżości uczuć. I co dalej?

— Rzuciła mnie.

Kuba ze smutkiem pokiwał głową.

— Czyli tak zwana mgła — powiedział. — Powinieneś wyjechać do Puszczy Kampinoskiej, aby tam wśród szumiących drzew dokończyć życia jako staruszek leśniczy. Mógłbyś hodować pszczoły i zbierać moczopędne ziółka. Co dalej?

— Nie jestem już najlepszym saksofonistą w tym mieście.

— W tym mieście nie ma ani jednego dobrego saksofonisty. Wszyscy grają podle.

Wladek milczał; na jego tylnie tańczyło światło lampy. Pochylony, rozmyślał w esy-floresy wódkę rozlaną na cynowej ladzie. Harmonista przestał śpiewać; znów odłożył harmonię i chwytając podszedł do bufetu. Oczy miał mętne, bez żrenic; był już dobrze podpity. Szczęki drgały mu nerwowo. „Właściwie powinienem mu dać w mordę” — leniwie pomyślał Kuba. Towarzystwo pijące pod oknem śpiewało teraz „Górala”. Bufetowa krążyła w milczeniu; nalewała operując butelkami i kieliszkami w sposób niezrozumiale zręczny. Komuś zrobiło się niedobrze; marszowym krokiem przemierzając salę ku wyjściu; jedną ręką trzymał się rozpaczliwie za usta, drugą — roztrzącał stojących na drodze; człowieczek ten miał oczy przerażonej krowy. Wladek ocknął się i powiedział:

— Zaraz puści pawia.

— Ee — mruknął Kuba.

Spoglądał przed siebie tępy wzrokiem, usiłując dopatrzeć się ładu w kakofonii twarzy, gestów i bełkotów. Chłopakowi w watomanej kurtce włosy opadły na czoło. Ścisnął skronie dłońmi i powtarzał dyszącym głosem:

— Ja ją muszę... Ja ją muszę...

— Młody — powiedział ktoś łagodnie i trzepnął chłopaka w plecy. — Młody, pluć na to. Chcesz się raz napić piwa, to nie kupuj browaru. Wszystko minie jak zły sen. Młody, pluć na to...

Nagle chłopak podniósł głowę; w oczach jego zapaliło się szaleństwo. Błyskawicznym ruchem strącił z lady wszystkie kieliszki, kufle i butelki, potem rzucił się ku wyjściu ze zręcznością żbika. Trzasnęły drzwi. Kilku ochotników pobiegło za nim.

— Jeśli nawet będzie miał tę swoją dziewczynę — powiedział Wladek oblizując wargi — to szczęście szybko się skończy, jeśli amant nie przestanie chlać. Biedna, głupia mała... Będzie za nim chodzić, wyciągać go z knajp, od kolegów, prosić, tłumaczyć, płakać.

— Skąd wiesz, że tak będzie? — zapytał Kuba.

— Tak zawsze jest, jeśli kobieta zacznie się opiekować pijakiem, którego kocha. Taka miłość jest złą miłością. Wiem, czym to się kończy... — Pocałował bardzo szybko, jakby w obawie, że Kuba będzie chciał mu przerwać. — Sam miałem kiedyś taką, która mnie kochała. Chodziła za mną, tłumaczyła, mówiła, płakała, wyrwała mi butelkę, kontrolowała mnie. Co drugi dzień stawiała mi ultimatum: albo wódka, albo ona; albo przestanę pić, albo się rozchodzimy. Zrywała ze mną, odchodziła, nienawidziłem jej, potem wracała, gdyż bała się, że zrobię sobie coś złego. Potem znów odchodziła, ludzie ją namawiali, żeby zerwała ze mną...

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Swego czasu Egon Erwin Kisch przyjechał do raz pierwszy do Wiednia i wyszedł na przechadzkę po mieście z Leo Perutzem. Klaniało mu się mnóstwo ludzi.

— Widzi pan — odezwał się Kisch — jestem w Wiedniu bardziej znany od pana!

— Sztuka! — odpowiedział Perutz — przecież pan dłużej mieszkał w Pradze...

Państwowa galeria monarchijska pragnęła nabyć kiedyś prace znanego malarza jugosłowiańskiego, Krizmana. Artysta postawił nietykalnie ciężkie warunki finansowe. Po kilkutygodniowych pertraktacjach w końcu zgodzono się na zadania malarza. Wówczas Krizman oświadczył:

— Skoro oceniacie mnie tak wysoko jak ja sam

siebie, moja ambicja została zaspokojona i proszę was o przyjęcie moich prac w podarunku.

Pewnego dnia jakiś przechodzień zaczął na ulicy Magdalene Brohan, Rozmawiana artystka wolała do natręta:

— Mył się pan, jestem porządna kobieta!

A spostrzegłszy, że zaczął ją niekiedy młodzieńczo dodaje z czarującym uśmiechem:

— Niech mi pan wierzy, bardzo tego żałuję...

Gdy Marcin Kromer, sekretarz króla Zygmunta Augusta przybył do Wiednia, cesarz w poufnej rozmowie spytał go, czy prawda jest, że polski król nie żyje ze swoją żoną i wobec tego, czy należy się spodziewać wygaśnięcia dynastii Jagiellonów?

— Nie wiem, najjaśniejszy panie — odparł Kromer. — Jestem dziennym sekretarzem króla...

Wyszperał:
Ryszard Dunin

Świąteczna krzyżówka nr 7 z szyfrem

P o z i o m o: A. zakochanie się w sobie, • eksperymenty, • tygodnik warszawski, B. anglosaska miara powierzchni, • pojazd, C. stary nudziarz, ko, 21. polski film telewizyjny o zmianie dusz, • rower z przyczepą towarową lub pasażerską umieszczoną z przodu, 22. ostrze strzały lub oszczepu

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
A																		
B																		
C																		
D																		
E																		
F																		
G																		
H																		
I																		
J																		
K																		
L																		
M																		
N																		
O																		

• ogłoszenie pogotowia bojowego, • podobna do wrony, • ... Christie, D. wyrób, dzieło, • obchodzi imieniny 7 sierpnia, • jedno z Wielkich Jezior amerykańskich, E np. bon oszczędnościowy, • lennik, • port bułgarski, • starogrecki rynek, F. kiepski koń, • ośrodek administracyjny Departamentu Oaz w Algierii, G. złączone pnie płynące z prądem, • nieodzowna w gospodarstwie, • Pucka lub Gdańska, I. pochyla powierzchnia nasypu, • utwór grany między aktami sztuki, • bryczka karabinu maszynowego, J. wykonują je rzemieślnicy i spółdzielczość, • upominek, K. oddział ubezpieczający na postój, • powieść Prusa, • prymitywna miara odległości, L. tworzy Jezioro Żywieckie, • stolica stanu Georgia, M. na żołnierskich czapkach, • puls, • ogłoszenie, N. szyper biblijnej arki, O. część świata, • ...wkładów oszczędnościowych nastąpiła przy pomocy bonów.

23. drapieżnik padlinożerny przejmujący wyjąca, 24. ciało lotne, 26. pisarska szklaneczka, 27. krzyżówka papuga, 28. zwój włosów na głowie, 29. ważna droga.

S Z Y F R

14. B7. I24. B4. J9. H8. D26. G28/N8. F6. G12. K3. N21. M10. A15. E20. M3. G19. A4. F15. C6. B21. K19/C12. E25. I25. K11. I10. G13. A17. H16. M20. K21. M13. E3. J4/F10. K20. A10/L17. H22/C17. M5. D4. O17. J17. A11. G20./B26/E17. O5. J10. L2. G16. I8//

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 kod 20-950 Lublin red. „Kamena”).

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy trzy nagrody rzeczowe wartości po 1000 zł każda, ufundowane przez Powszechną Kasę Oszczędnościową w Lublinie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 5 Z SZYFREM:

Poziomo: sprawa, obora, apasz, Krzysztoń, Atena, kadet, pantomima, Ilawa, diak, kufel, róża, rama, ulan, Atos, Niobe, miła, satyr, warsztaty, Sucha, lanie, sentencja Biech, Stogi, klinga

Pionowo: kalafior, kaseta, szkapa, Arystofanes, bańka, rozdział, etui, dotyk, malkontenci, morze, wiata, Dżuma, kasza, malachit, narzecze, maszt, sylaba, taniec, wasąg, runo.

S Z Y F R
Bo za nic prawo, gdy za nim nie stoi siła.

Karol Bunsch
„Powrotna droga”
Nagrodę otrzymuje Lukasz Rogowski, 89-915 Gd. Ocunia, ul. Starogardzka 2L.